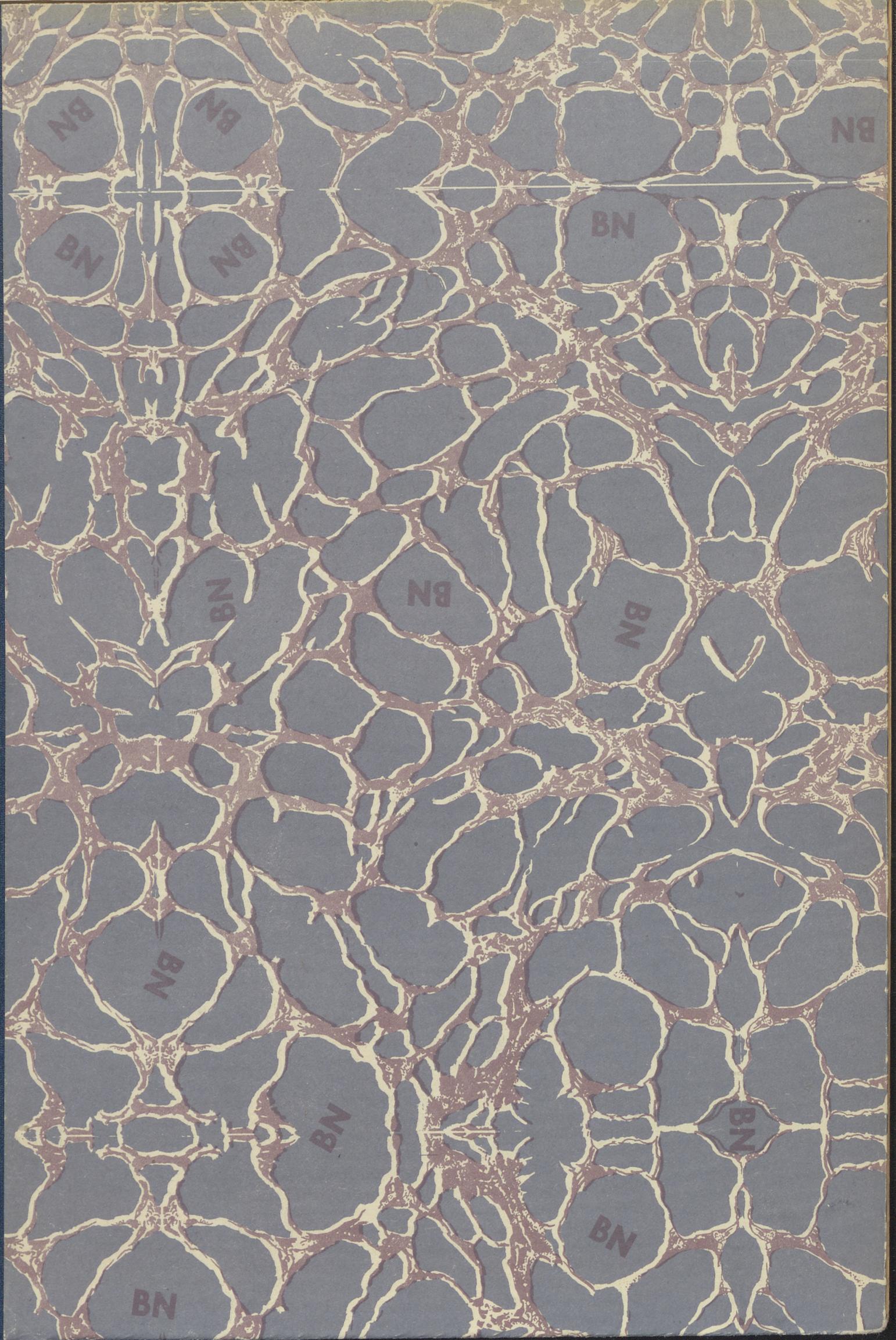
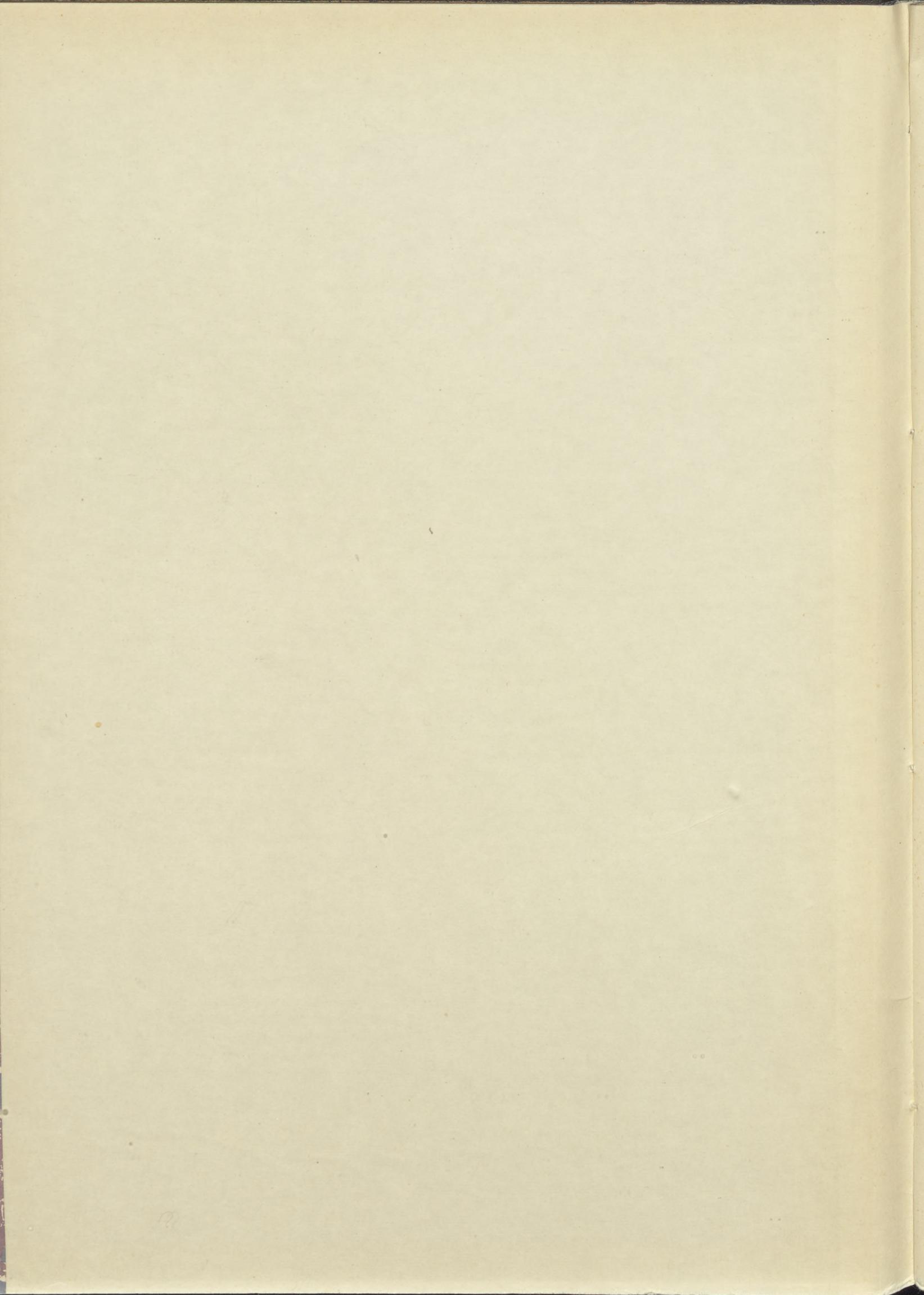
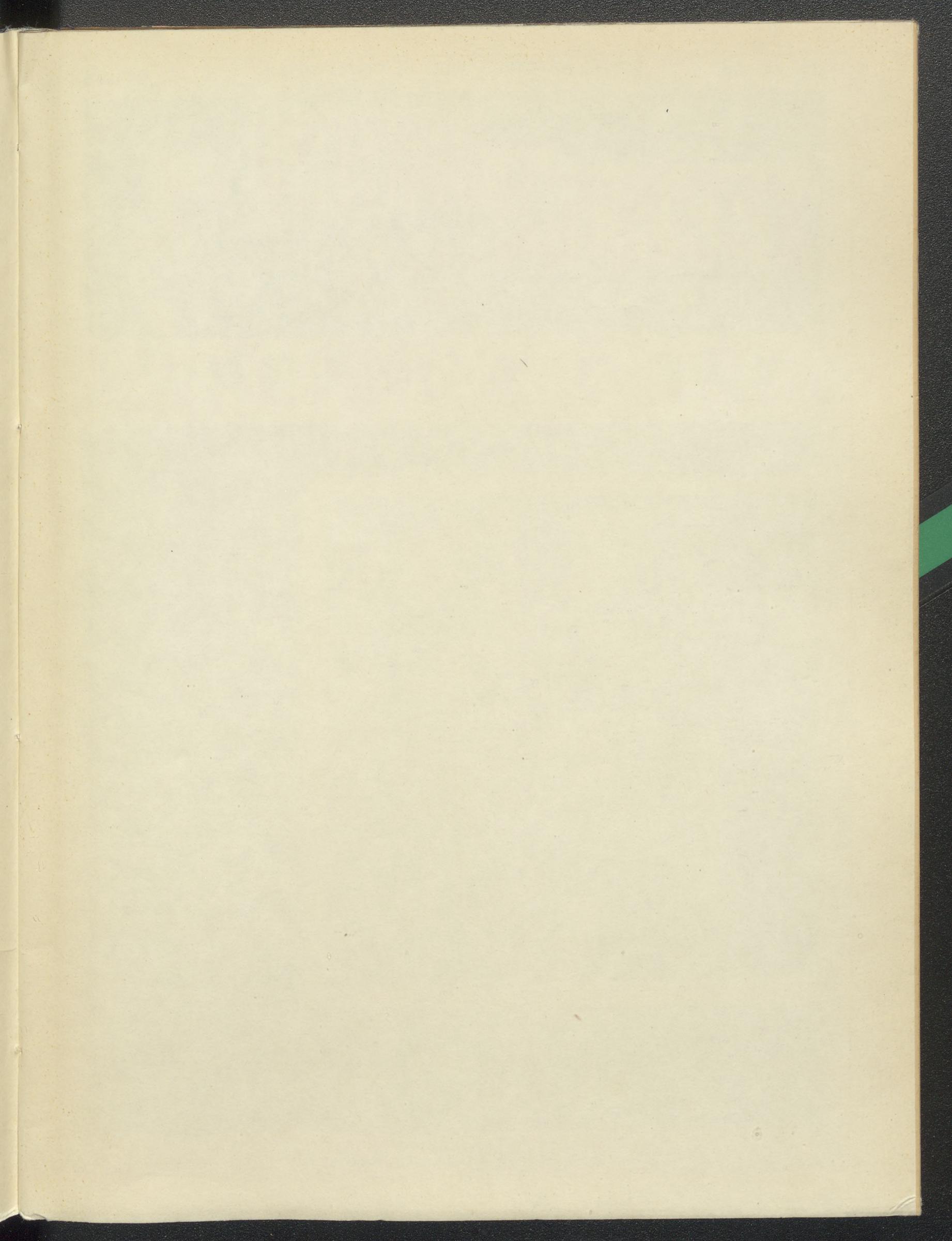


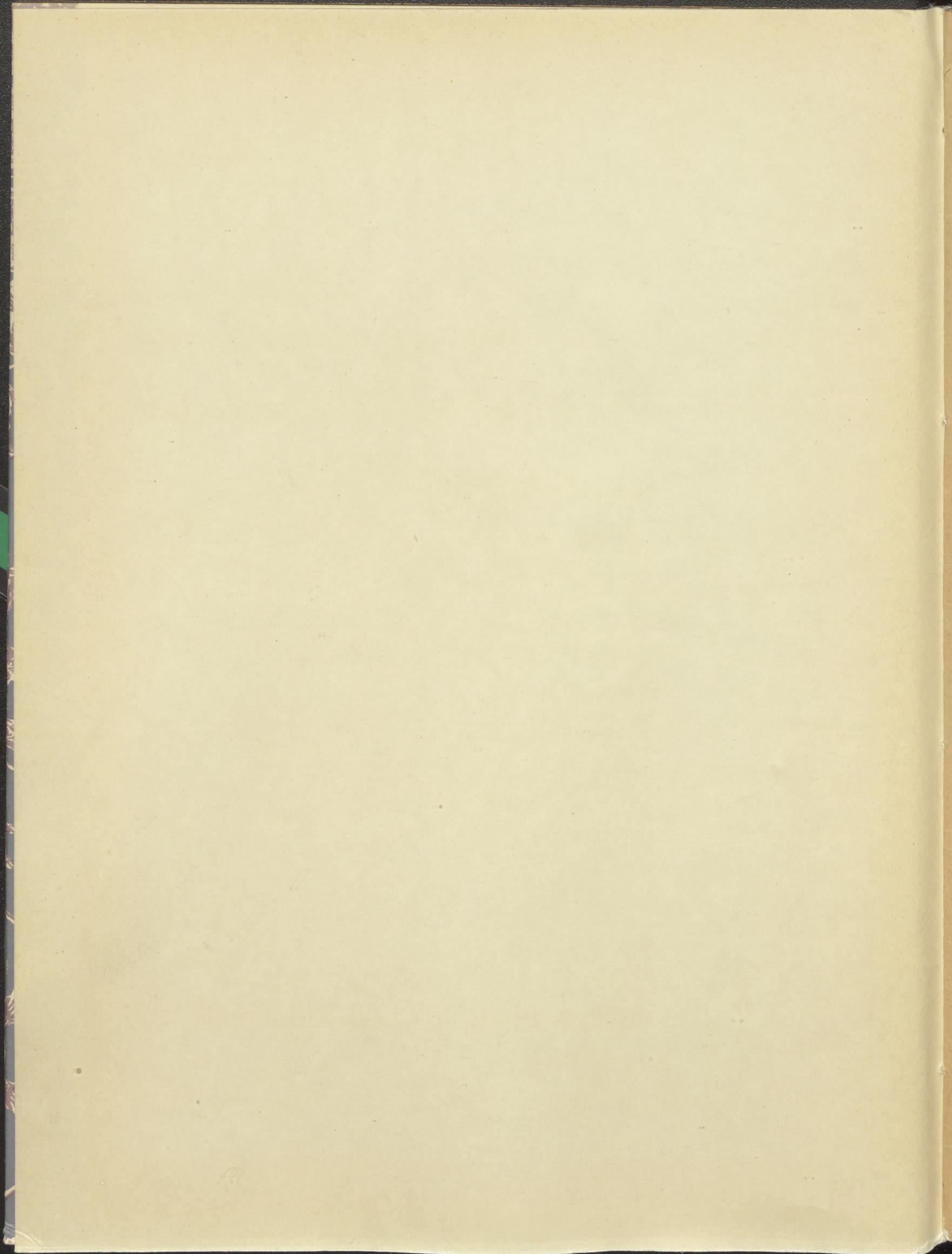
12

623405









Nr. 12.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

KAPŁANKA OGNIA



WYDAWCA
WARSZAWA



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

KAPŁANKA OGNI

Postrach rentierów

Znakomity detektyw — Harry Dickson — i Tom Wills, jego młody ale wysoce uzdolniony uczeń; nadobrze już się nudzili. Wysiadywać tak całymi godzinami w mizernym salonie jakiegoś tam Simpletona, zdzieciniałego starca i czekać na nieznanego złoczyńcę — takie zajęcie, polegające na bezczynności nie było wcale zajmujące.

— Czy nie zgasić światła, mistrzu?..

Tom zadał to pytanie tylko dlatego aby coś powiedzieć.

Odpowiedź padła dopiero po dłuższej chwili. Harry Dickson wypowiedział ją głosem obojętnym przerwany ziewaniem:

— Czy sądzisz, że Maestro Węgorz lęka się światła?..

— Nie, — odparł Tom. — Ale zdaje mi się, że możeby to wyczekiwanie stało się trochę ciekawsze, gdybyśmy siedzieli po ciemku.

— Ciekawsze albo bardziej usypiające... Zresztą — jeżeli chcesz — zgaś światło.

Tom Wills podniósł się ze staroświeckiego fotelu i przeszedł przez całą szerokość pokoju w kierunku przeciwległej ściany.

W pokoju zapanowały ciemności. Jednocześnie cisza stała się w domu jakby głębsza i bardziej zupełna.

Tom zupełnie bezwiednie począł stapać na palcach.

— Może te ciemności przyniosą nam jakąś zmianę, — zauważył, zdrażając ku swemu miejscu.

To, co się stało w następnej chwili, było dziełem jednej sekundy.

Tom Wills poczuł, że pada, silnie potrącony przez kogoś, kto w niezwykłym pędzie przebiegł przez pokój. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby, łomot przewracanego fotelu, a w ramie okiennej ukazała się postać rosnącego mężczyzny. Nieznajomy przesadził okno i zginął w mrokach nocy.

Harry Dickson miał odruchy, szybsze niż myśl.

Zanim Tom Wills się podniósł — detektyw był już przy oknie i lampką kieszonkową o silnym reflektorze oświetlał mały ogródek, do którego skończył nieznajomy.

Nagle padł strzał. Stłuczona lampka wypadła z

ręk Dicksona a kula z lekkim świstem przeleciała obok skroni Toma.

— Dobry strzelec — rzekł Dickson.

— Wydostał się jak prawdziwy węgorz — zauważył Tom. — Znowu wyslizgnął się.

Dickson, nie stropiony tymi wypadkami zauważył z uśmiechem:

— Nie docenialiśmy naszego przeciwnika... To nie lada sztuka. Wyskoczył tak przez okno, waląc prosto w szybę — na to trzeba prawdziwego atlety.

— Musiał się mocno pokaleczyć...

— Nie sądzę, — odparł detektyw. Wszystko zależy od szybkości. Ten człowiek skoczył w okno jak lew, sięgający po zdobycz. Dzięki temu nic sobie najpewniej nie zrobił. Uderz, jeśli potrafisz gołą pięścią w szybę, ale bij szybko, jak bokser, a masz 90 szans na sto, że wyjdiesz bez najmniejszego okaleczenia. A zresztą, znane są przecież w zawodach motocyklowych pokazy — kiedy jeździec wpada w dużym pędzie na szybę. Nic mu się przy tym nie staje.

Rozmowa ta trwała około minuty.

— Czy mam zapalić światło?

Dickson skinął głową.

— Oho, — rzekł detektyw, gdy Tom przekreślił wyłącznik, — nasz gość pozostawił nam jakieś upominki.

Na podłodze leżał niewielki neseser i marynarka.

— Gdy wyskakiwał, — zauważył Tom — był bez marynarki. Widziałem wyraźnie ciemne szelki na jasnej koszuli.

Tom był już przy rzeczach. Podał marynarkę swemu nauczycielowi.

— Konfekcja, — zauważył Dickson, — zwykła tandeta. Jest w Londynie pewnie dziesięć tysięcy sklepów, w których można dostać podobną taniżnę. Gdybyśmy nawet odwiedzili wszystkie te sklepy — nicby to nam nie przyniosło. W Londynie jest cała armia ludzi, odzianych w takie marynarki.

— Zbadajmy wobec tego neseser.

Tom wysypał zawartość neseseru na podłogę.

— Ho-ho!... Fotografie mistrza Dicksona, wydane z tygodników ilustrowanych. Jest jedna moja. Szanuj nas ten pan Węgorz.

— Pod fotografiami są jakieś dopiski, — zauwa-

żył Dickson. — Przeczytaj, Tomku, co też pisze nasz okno — skoczek. Pewnie nas chwali...

Tom czytał:

„Harry Dickson — detektyw z operetki, który się poślizgnął na Węgorzu“.

„Harry Dickson — nieszczęśliwy łowca węgorzy“.

„Dickson — mistrz, który zawsze przychodzi za późno...“

— A niechże go! — zaklął młody człowiek. — Jest teraz i moja fotografia. Wyobrażam sobie, co o mnie ten zuchwalec pisze. W miarę jak Tom czytał — rumieniec gniewu i wstydu oblewał mu policzki:

— „Tom Wills, który zamiast detektywem, powinien zostać kuchcikiem, aby się nauczył oprawiać węgorze“... — Dostanie się jeszcze w nasze ręce ten pewniak. Bywali już tacy, jak on. Bywali jeszcze zuchwalsi!“

Tom dyszał żądzą zemsty...

— Cała ta historia jest dla nas wysoce pouczająca, — zauważył Dickson, — świadczy bowiem o tym, że ten niezwykle przestępca wiedział dokładnie o naszym tu pobycie i że chciał się przed nami popisać. Trzeba przyznać, że mu to się udało całkowicie. To zmyślna sztuka.

W tej chwili z górnego piętra dobiegł uszu obu mężczyzn starchy głos:

— Bardzo ładnie! Bardzo ładnie! Nawet mi nie kazał się rozebrać...

— Stary Simpleton jest zadowolony, — burknął Dickson, — i to coś warte. — Trzeba będzie się od niego dowiedzieć jaki był przebieg spotkania starszka z mistrzem Węgorzem... Chodźmy na górę.

Na schodach rozległy się teraz lekkie kroki niewieście.

Do pokoju weszła młoda jeszcze osoba, odziana w strój pielęgniarce.

Na widok potłuczonej szyby, przewróconego krzesła i rozsypanych fotografii — twarz pielęgniarki oblekła się gniewem.

— Jak widzę, mister Dickson, znów nie udało się panu ująć człowieka, który naraził na szwank i na pośmiewisko honor naszego rodu!

— Podobnie, jak honor tylu innych rodów, których członków zaszczycił swą wizytą.

Pielęgniarka aż tupnęła z gniewu:

— Zabraniam panu stawiania tych nazwisk biednych kramarzy na jednej płaszczyźnie z godnością Castelmaina — słynnego rodu plantatorów i kolonistów! Nie dosyć, że przez pana odegrałem tutaj rolę w najwyższym stopniu śmiesznej, ale jeszcze muszę przeżywać gorycz poniżenia nas i porównywania z byle lykami!

Dickson nie dał się wyprowadzić z równowagi:

— Sama pani tej roli pragnęła. Przydzieliłem panią do tej sprawy wskutek nalegań ze strony mego przyjaciela Godfielda, intendenta Scotland Yardu. Nie udało nam się. To prawda. Ale w moim zawodzie takie porażki nie należą do rzadkości. Trzeba umieć przegrywać. Przyznaję, że ten pan Węgorz, to już nie węgorz, ale lis niezwykle szczywany. Nie wątpię jednak, że uda mi się go ująć.

— A ja wątpię. Jestem nawet pewna, że taka chwila nigdy nie nastąpi. Żle pan się do tego zabiera!

Dickson w dalszym ciągu nie stracił zimnej krwi:

— Jak się miewa nasz czcigodny gospodarz, mister Simpleton!

— Niech go pan o to zapyta. Wolna droga. Ja mam dosyć tej głupiej komedii... Wracam do domu. Nie wiem po co przez trzy dni karmiłam tego zdzienniałego starca, grałam rolę piastunki i pielęgniarki przy jego boku... Poto, aby ten niepoń Węgorz — wybił szybę i w oczach sławnego detektywa wyskoczył sobie przez szybę okienną! To niesłychane! To oburzające!

Panna Barbara Castlemain trzasnęła drzwiami, aż mury się zatrzęsły!

★

Oto sprawa, która doprowadziła do opisanych powyżej wydarzeń.

Od kilku miesięcy jakiś niezwykle, dziwaczny — rzec możnaby — włamywacz był przedmiotem nieustających niepokojów w policji londyńskiej. Nie kradł wiele, ale sposób w jaki to czynił, był tak osobliwy, że — jak przypuszczano — autorem owych włamań musiał być człowiek niespełna rozumu.

Zawsze w ostatniej chwili udawało mu się zbiec i nigdy nie opuścił okazji, aby zadrzeć sobie z policji. Podobnie zresztą uczynił i z Dicksonem.

Zuchwalstwo tego człowieka, jego zimna krew i inteligencja dawały mu możliwość dokonywania wielkich kradzieży. Mógłby uchodzić z bogactwami, ale poprzestawał zwykle na byle drobnostce, czasem poprostu tylko na wywracaniu szuflad i zawartości szaf i — co najdziwaczniejsze — na obnażaniu swych ofiar do pasa. Kazał im przez chwilę paradować w takim dekolcie przed sobą, czasem zdzielił ich małą różgą, którą trzymał w ręku, niekiedy pociągnął za ucho, albo za brodę i uchodził najczęściej z pustymi rękami.

Śród jakich ludzi działał?... Kim były jego ofiary?...

I tutaj było coś zagadkowego w postępowaniu tego człowieka. Oto działał przeważnie śród biedaków, śród drobnych rentierów i najczęściej starców.

Dlatego obok przezwiska „Maestro Węgorz“ dodawano inne: „Postrach rentierów“.

Mimo wszystko — możeby na pana Węgorza nie zwrócono szczególnej uwagi, gdyby nie sprawa Castlemainów.

Sędziwy James Castlemain należał do arystokracji angielskiej, był człowiekiem bardzo ustosunkowanym i po wizycie Węgorza — póty chodził od ministerstwa do ministerstwa — aż sprawie został nadany bieg zgoła inny, niż dotychczas.

„Węgorz“ odwiedził Castlemaina, oczywiście w jego własnym mieszkaniu, już późno w noc. Osobliwy przestępca nie zwracał uwagi na żywe protesty i nawet oburzenie starego arystokraty, zdarł mu z pleców jedwabną piżamę a na pożegnanie — pociągnął go mocno za siwą bródkę — hiszpankę.

Najlepsi agenci Scotland Yardu zostali wydelegowani do tej sprawy. Nieboracy, po kilkutygodniowej pracy zarobili sobie kilka szyderczych artykułów w dziennikach i opinie niedołęgów.

I właśnie wtedy, na skutek interwencji jednego z ministrów, sprawa została oddana w ręce Dicksonowi.

Miss Barbara — bratanica Jamesa Castelmaina uprosiła Dicksona, aby pozwolił jej współdziałać w akcji schwywania Węgorza. Zresztą ta niemłoda już panna, odziana niedbale i bez gustu — w pierwszej chwili nawet wiele okazała pomocy detekty-

wowi. Oto śich jedna z pierwszych rozmów:

— Czy zauważyła pani, — rzekł Dickson, — że wszystkie ofiary imię Węgorza zaliczają się do jednej sfery?

— Co to ma znaczyć?

— Ma to znaczyć, że Węgorz odwiedza tylko byłych handlarzy trzcina cukrową i byłych kolonistów z wysp Antylskich.

Miss Barbara rozgniewała się:

— Obraził pan mnie i mego stryja podwójnie. Mój stryj, cały nasz ród wywodzi się od parów Anglii, a mój ojciec i mój stryj nie byli handlarzami trzcina cukrową tylko plan-tato-ra-mi! Czy pan ocenia różnicę?

— Oceniam i przepraszam panią bardzo. Pewną jest jednak rzeczą, że wyspy Antylskie łączą wszystkich odwiedzonych przez Węgorza. Wszyscy ci ludzie przybyli do Londynu w biedzie, a w każdym razie z resztkami swego majątku.

Panna Barbara stała się znów opryskliwa.

— Mój stryj przybył do Londynu bynajmniej nie z resztkami majątku, ale z dużym majątkiem i żyje bez trosk w swej posiadłości. Więc i w tym punkcie myli się pan. Nie przeczę jednak, że istotnie ów jegomość działa śród ludzi, przybyłych do Londynu z Antyllów, a ściślej mówiąc — i tutaj leży dziwny zbieg nazw — z wyspy Węgorzei, zwanej tak, ze względu na swą bardzo wydłużoną linię, oraz dla tego, że koło tej wyspy odbywają się tajemnicze gody węgorzy, które przybывают — jak wiadomo — do morza Sargassów z całego świata. Na tej wyspie, — ciągnęła Barbara Castelmair — pochodzenia wulkanicznego, jak wiele innych w sąsiedztwie — kwitły pola trzciny cukrowej, a plantatorzy i kupcy żyli w dobrobycie. Wulkan, traktowany przez tubylców jako świętość i zwany przez nich Ma-Hin-Tu był od lat nieczynny. Dymił tylko zlekka. Wybuch lawy z przed piętnastu laty pokrzył jednak kres wszelkiej pracy na tej pięknej wyspie. Lawa zalała pola trzcinowe, pokryła je zrazu gorącą, a potem na kamień zastygła masą — niosąc nietylko zniszczenie całego naszego dobytku, ale śmierć wielu kolonistów. Większość z nich była już w wieku podszłym. Nie czuli się na siłach, aby rozpocząć od początku walkę o byt. Zresztą ziemia na wyspie Węgorzei z urodzajnej stała się teraz jałową i nie nadająca się nawet pod kulturę. Ludzie ci zebrali co jeszcze pozostało i wrócili do domu — do starego kraju.

Miss Barbara zamilkła... Po dłuższej pauzie podjęła znowu:

— Życie nasze zawdzięczamy tylko oddaniu i wierności naszego starego sługi — Murzyna Antaresa, który nie opuścił nas do tej chwili i udał się z nami do Anglii. Antares traktowany jest przez nas wszystkich jak członek rodziny. Nie przesadzę, jeśli powiem, że za jego uczucia płacimy mu równą monetą i kochamy go również...

Miss Barbara wzruszyła się widocznie wspomnieniami tych ciężkich przeżyć, gdyż policzki jej oblały się rumieńcem a głos na chwilę — załamał się.

Młoda kobieta uderzyła w gong. Rozległ się ton dźwięczny i zarazem głęboki.

Po chwili w drzwiach ukazał się Murzyn o szerokich barach, wąski w pasie, rosły i krzepki.

— Czy to Antares? — zagadnął Dickson.

— Tak jest. Antares nam przyniesie punchu na sposób antylski.

Murzyn skłonił się. Odszedł służalczo spoglądając w oczy swej pani.

W salonie starego domu Casteimainów, już za Londynem, gdzie toczyła się ta rozmowa, pojawił się w dużych kufiach gorący punch antylski. Dickson delektował się smakiem tego znakomitego napoju, podziwiając równocześnie atletyczną sylwetkę czekającego na skinienie swej pani Murzyna.

Miss Barbara skierowała ku Antaresowi wzroki, w którym było również zadowolenie.

— Gdy ujmiemy imię Węgorza — oddam go w ręce naszego Antaresa. Już on się z nim rozprawi.

Oczy młodej gospodyni domu zapłonęły złym blaskiem.

— Nienawidzę tego człowieka, — rzekła.

— Ujmiemy go, — odparł Dickson. — Zauważyłem, że ten człowiek działa według zgóry określonego planu. Składa wizyty byłym kolonistom z Wyspy Węgorzei w kolejności zupełnie logicznej. Ostatnim był Samuel Goldfinch. Teraz zatem będzie kolej na pana Jeremiasza Simpletona, zamieszkałego w małym własnym domku przy Halkin Street.

— Moglibyśmy zastawić nań sidła, — rzuciła młoda kobieta.

— Właśnie o tym myślałem, — odparł Dickson. — Mój uczeń Tom Wills będzie mi przy tym pomocny.

— Niech mi pan pozwoli, abym się również przychyliła do ujęcia tego złooczyńcy.

Detektyw oparł się tej propozycji. Niezwykły był wtajemniczać w swe sprawy osób trzecich.

Ale miss Barbara nie ustąpiła, znalazła drogę do samego intendenta Goodfielda, a prośbie swego starego druha Dickson nie mógł już odmówić.

Przyznać trzeba, że młoda dziewczyna miała dobry pomysł, ofiarując się w roli pielęgniarki sędziego Simpletona, zupełnie już zdziwaczałego.

Przez trzy dni trwała miss Barbara na swym posterunku. Czwartego wreszcie, już późno w noc, rozegrały się wypadki, od których rozpoczęliśmy nasze opowiadanie.

Krwawy kwadrat

— A teraz na kogo kolej?...

Harry Dickson skierował to pytanie częściowo do samego siebie, częściowo do swego ucznia Toma, gdy — pochylony nad planem Londynu, z listą kolonistów z wyspy Węgorzei w ręku — zastanawiał się gdzie należałoby obecnie szukać tajemniczego przestępcy.

— Mam! Następną wizytę złoży Maestro Węgorz Joe Haskinsowi, zamieszkałemu przy Lloyds Street, bardzo ponurej, bardzo ciemnej i krętej uliczce, na której nie ma prawie wcale domów mieszkalnych, ale za to nie brak magazynów, stajen i garaży, no i szcurów...

Istotnie, na całej prawie ulicy nie było więcej domów mieszkalnych prócz tego, w którym mieszkał Joe Haskins, ponury starzec, nie udzielający się nikomu, o bardzo podejrzaną konducję.

Dickson z Tomem przedstawili się byłemu kolonistom i podali powód, który ich w jego progi sprawdził.

Ale Joe Haskins wysłuchawszy ich, nachmurzył się jeszcze bardziej i rzekł głosem opoja:

— Ten cały wasz Węgorz nie a nie mnie nie obchodzi. Niech tutaj przyjdzie! Skórę z niego zedre,

żywcem zedre. Nie potrzebuję tutaj nikogo do pomocy i żebyście mi się po moim domu nie plątali. Kto mi zresztą zaręczy, że nie przysłiszcie tu po to, aby mnie okraść. Wynosić mi się stąd, ale to zaraz!...

Starzec potrząsnął jakąś wielką pałką. Omal nie zderzył nią Dicksona przez głowę.

Z brutalnym nie było co gadać. Dickson i Tom Willis musieli się ratować ucieczką przed człowiekiem, którego przyszli bronić.

Było zimno i wilgotno.

— Aż mnie mrowie bierze, na myśl, że będziemy musieli na tym powietrzu spędzić całą noc! — zauważył Tom.

— Ażeby tylko jedną, mój chłopcze. Trudno. Swoje zrobić musimy.

— Ale czy koniecznie musimy tutaj ziębnąć?

Harry Dickson, choć o trzydzieści blisko lat starszy od swego ucznia — nie miał jeszcze czasu pomyśleć o czekających go niewygodach. Swoim zwyczajem wczuwał się teraz w to, co nazywał „atmosferą“ zbrodni.

Owe dziwne wizyty Węgorza nie miały wcale swej specyficznej atmosfery. Raczej przeciwnie: zakrawało to wszystko na wesołą farsę, choć niewątpliwie krył się za nią jakiś sens głębszy i cel może bardzo poważny. Inaczej jednak było w tej chwili, gdy na chłodzie pod jesiennym wiatrem i wilgocią stali na bruku krętej i ciemnej Lloyds-Street. Dom Haskinsa był jakby spowity w atmosferę lęku, zbrodni i krwi... Dickson czuł, że w tym domu stać się musi wkrótce coś strasznego i że nie wolno mu tego domu opuszczać. I właśnie dlatego na pytanie Toma, czy muszą tutaj ziębnąć, odparł:

— Nie będziemy marzli poza domem. Wrócimy pod dach pana Haskinsa, choć nas wcale o to nie prosi. Zabawimy się we włamywaczy.

Ze złością, którejby mu pozazdrościł zawodowy kryminalista, Harry Dickson otworzył zamek od drzwi kuchennych, bezszelestnie je uchylił i, wskażąc gestami Tomowi, aby wszedł pierwszy, po chwili również znalazł się w ciemnej i zlekka zalatującej pleśnią kuchni.

Przez dłuższą chwilę siedzieli nieruchomo, niczym nie zakłócając ciszy, panującej w domu i na ulicy. Gdzieś wybił cienki dzwoneczek zegara. Była jedenasta w nocy.

— Otwórz pocichu drzwi i wyjrzyj co się dzieje na korytarzu, — rzekł detektyw do Toma. — Haskins jest już pewnie u siebie w pokoju. Słyszałem, że kładzie się spać punktualnie o jedenastej.

Tom wyrzwał na korytarz, ale po chwili cofnął się z wyrazem panicznej trwogi na twarzy.

Wkrótce w całym domu rozległ się jakby płacz dziecięcy, a w szczelnie uchylonych drzwi ukazały się dwa zielone ogniki.

Dickson, który w pierwszej chwili sam wzdygnął się ze strachu — teraz uśmiechnął się.

— Wszystko nerwy!... Wprawdzie to kot, ale tylko kot, nie ponadto. Możemy być spokojni. Nie powie nikomu, że nas tutaj widział.

Mimo to, znów zamarli bez ruchu, bo oto na górnym piętrze skrzypnęły drzwi i rozległ się chrapliwy, pijacki głos Haskinsa:

— Sfinks! Sfinks, podłe bydlę! Idziesz tutaj? Przystaniesz się wydzierać. Łeb ci ukreczę, szatanie!

Kot, jakby nie słyszał tego wołania. Wszedł do kuchni mruczając z zadowolenia, obszedł dwóch intruzów nie raczyszy na nich nawet spojrzeć i z ogonem podniesionym do góry, wyszedł na korytarz.

Z góry znów wołał tymczasem Haskins:

— Sfinks, do mnie! Kici - kici!...

Kot ruszył w podskokach na górę.

Zegar wydzwonił kwadrans. Nad głowami detektywów zaskrzypiał materac. Stary Haskins wyruszał w krainę marzeń...

Prawie do północy dom był pogrążony w zupełnej ciszy.

Niemal jednocześnie Dickson i Tom dosłyszeli jakiegoś podejrzanego szmery. Było krótko po północy.

Wydawało się, jakby Haskins kichał, albo jakby przewracając się na łóżku, wzdychał ciężko.

— Coś się musi śnić niemiłego panu Haskinsowi, — zauważył Tom.

— Mam wielką ochotę pójść na górę i posłuchać, co też tak ciąży mu na sumieniu — rzekł Dickson.

Tom wyszedł na korytarz.

Nagle drzwi od pokoju na górze otworzyły się i słychać było przeraźliwe krzyki, przekleństwa, jęki i harczenie. Towarzyszył temu hałas wywracanych mebli i łomot tak wielki, że cały dom aż drżał w posadach.

— Gotuj broń! — krzyknął detektyw do swego ucznia, i wybiegając ze swego ukrycia pędem pobiegł w kierunku schodów. Nim przebiegli kilka stopni — padli na klatkę schodowej, szukając osłony przed strzałami, których cała salwa rozległa się z góry. Przekonali się po chwili, że kryli się daremnie. Ktoś strzelał w stronę sufitu, jakby polował na ptaki. Prawie w tej samej chwili więcej odczuli, niż zauważyli, jakiś elastyczny skok koło siebie i mała sylwetka skryła się w cieniach.

— To kot — zauważył Tom. — Ktoś strzela do kota... Haskins zwariował.

Zbiegli ze schodów, szukając znów ukrycia, bowiem ktoś biegł z tupotem po schodach z bronią w rękę. Musiał to być Haskins. Nie chcieli go zatrzymać. Nie mieli zresztą prawa.

— Stary jest jeszcze bardzo żwawy i zręczny — jak na swoje lata, — rzucił znów uwagę Tom.

— Zręczny powiadasz i zwinny?... — A niechże to!...

Dickson rzucił się jednym susem ku schodom.

— Za mną, Tomie!

Dotarli na górę, do pokoju Haskinsa.

Drzwi były otwarte na oścież. Na kominku paliła się reszta świecy, umieszczona w butelce. Jakaś czkawka, głęboka i głośna rozlegała się wśród ciszy. Obaj ujrzeni teraz okropne dzieło zniszczenia, dokonane przez zbrodniarza.

Na skąpanym we krwi łóżku, w podartej pościeli — w okropnym skurczu leżał Haskins. Owa głośna czkawka dobywała się z piersi nieszczęśliwego, którego jabłko adamowe poruszało się w ostatnich przedśmiertnych skurczach.

— Ten człowiek kona! — krzyknął Dickson.

Detektyw dopadł do umierającego, próbując przyjść mu z pomocą. Ujrzał na jego piersi okropną czworokątną krwawą ranę: ktoś wyciął z piersi Haskinsa cały kawał skóry...

Czkawka ustała. Joe Haskins wyzionął ducha.

— To dzieło Węgorza. To on zbiegł ze schodów! — krzyknął Tom i rzucił się ku wyjściu.

Dickson zatrzymał go.

— Poświęć mi, Tomie. Tamten jest już tak daleko i ukryty tak dobrze, że daremne byłyby nasze wysiłki.

W świetle świec i lampek elektrycznych detektywi przeszukali sypialnię Haskinsa. Teraz dopiero odczuli ostry zapach jakiegoś środka chemicznego lub dezynfekcyjnego... Szuflady były powyciągane, panował w nich charakterystyczny, zwykle po wizytach Węgorza, obserwowany nieład.

— Tomie, — rzekł Dickson, — po raz drugi namiebnie przegraliśmy. Podczas, gdy siedzieliśmy w kuchni — tamten, który teraz przeszedł z niewinnych napaści na cudze mieszkania do morderstwa — przeszukiwał szuflady w komodzie nieszczęśliwego Haskinsa.

— A sam Haskins?

— Spał. Spał twardo, usłony jakimś środkiem nasennym, którego resztki jeszcze czujemy.

— Dlaczego miałby go uspić, skoro mógł go steroryzować jak innych?

— Maestro Węgorz miał teraz inne cele. Musiał dokonać na tym człowieku operacji — niezwyklej operacji wycięcia całego kawała skóry z piersi. Widocznie coś musiało na tej piersi Haskinsa być niezwyklego, skoro bandyta w ten sposób nieszczęśliwego zoperował. Ale Haskins był człowiekiem twardym. Dawka środka nasennego była dlań zamalą. Obudził się w toku tej operacji i próbował się bronić. Słyszeliśmy najpierw odgłosy operacji, gdy w narkozie Haskins przewracał się na łóżku, a potem — piekielny odgłos walki.

— I nagle Węgorz rzuca wszystko, pozostawia swą ofiarę na łóżku i strzela do... kota!

— Masz rację. Strzela do kota! Właśnie do kota.

Przez chwilę Dickson stał na miejscu myśląc nad czymś intensywnie, potem wypadł z pokoju jak z procy.

— Dokąd, mistrzu?

— Gonię kota.

— Uciekł przecież. Nie ma go już w domu. Gdzie go znajdziemy?

— Może mi się uda znaleźć to, z czym kot uciekał.

Tom Wills spoglądał za swym mistrzem kiwając z niedowierzaniem głową. Gdyby nie miał ślepego doń zaufania, byłby pobiegł za nim i go zatrzymał.

Detektyw zeszedł na dół, oświetlając dokładnie każdy stopień schodów.

— Będę musiał zejść na dół, — rzekł jakby do siebie Dickson.

— Chwileczkę, mistrzu. Przecież Węgorz strzelał w górę. Zatem raczej na górnych stopniach należałoby szukać tego przedmiotu, który kot, wylekniiony strzałami, wypuścił z pyska.

Dickson zawrócił z miejsca.

— Masz rację, Tomie, — rzekł z uznaniem.

Tom zapamiętał sobie ten dzień. Jego mistrz i o piekum był skąpy w pochwałach, podobnie zresztą, jak nigdy nie czynił mu ostrych wymówek. Pochwalał go dzisiaj. Tom był z siebie dumny.

Dickson był już na górnych stopniach. Pochylił się nagle i coś schował do kieszeni.

— Wracamy, — rzekł do Toma. — Mali rentierzy, zatrwożeni staruszkowie, mogą już teraz spać w spokoju.

— Czemu miałby Węgorz teraz właśnie zatrzymać się na drodze swych zbrodni, skoro już krew przelał?

— Bo na piersi Haskinsa znalazł to, czego szukał na tyju innych piersiach i plecach, nakazując swym ofiarom obnażać się. Jestem przekonany, że musi to być jakiś znak wytatuowany, znak, mający dla Węgorza jakąś wielką wartość. Może chodzi o skarb ukryty, którego położenie było wyznaczone na planie wyrysowanym na piersi nieszczęśliwego Haskinsa, może to jakieś słowo, lub rysunek znalazł, ale szukał jeszcze czegoś: nie bez powodu przecież wertował po wszystkich szufladach i szafach u ludzi, których odwiedzał. Węgorz już teraz wie na pewno, że przedmiotu tego u żadnego z dawnych kolonistów nie znajdzie. Da im zatem spokój. Ale nie da spokoju nam.

— A to dlaczego?

— Bo teraz ja mam ów przedmiot, dla którego Węgorz ostatnio nawet krew przelał. Oto on.

Tom z wcale nie ukrywaniem lekceważeniem przyglądał się małemu brudnemu przedmiotowi, który w wyciągniętej dłoni trzymał jego mistrz.

— A to dobre sobie. Zwykły i w dodatku bardzo brudny kłębek bawełny. Czy doprawdy dla tego głupiego kłębka, człowiek ten strzelał do kota, i czynił poszukiwania w setkach szuflad, narażając się na schwytnię? Jak to wytłumaczyć, mistrzu?...

— Gdybym umiał na to pytanie odpowiedzieć — sprawa byłaby wyjaśniona bez reszty. Ale jedna rzecz jest pewna. Zbrodniarz domyśla się, że kłębek dostał się w moje ręce. Będzie się starał go odebrać. Jakich sposobów będzie się imał — zobaczymy. Musimy się mieć na baczności. Ten człowiek jest doprawdy bardzo niebezpieczny.

Podczas, gdy Dickson mówił — Tom machinalnie odwijął nić z kłębka. Nagle cofnął się ze wstrętem:

W ręku Toma spoczywał zeschnięty, jakby zabalsamowany palec ludzki!

Skradziony palec

— Nie będziemy się rozwodzić nad poruszeniem, jakie w opinii publicznej wywołało zamordowanie Joe Haskinsa. Poruszenie to wywołane było nie przez sympatię dla ofiary, ale przez sam fakt, że maestro Węgorz, uchodzący dotychczas za przestępcę raczej operetkowego popełnił obecnie zbrodnię krwawą i szczególnie okrutną. Zbrodnia ta wywołała szereg komentarzy, oczywiście dla policji niemiłych.

W tych warunkach niezwykle dziwne wydawać się musiało zachowanie Dicksona.

Nie istniał dla niego ani Maestro Węgorz, ani kłębek na palcu ludzkim, ani tajemnica skóry wyciętej z piersi nieszczęśliwego Haskinsa... Dickson zaszył się po prostu w jednej z sal Muzeum Brytyjskiego, otoczył najrozmaitszymi księgami i po uszy zagłębił się w lekturze i studiach.

Powagę i skupienie tych dni przerwała tylko nie spodziewana wizyta, jaką w domu przy Baker Street złożył detektywowi i jego uczniowi nikt inny, jak tylko sam pan Simpleton, dziecięciniały, niedołyżny starzec.

Zasapany Simpleton od razu zaczął od nonsensów:

— Dajcie mi kawałek cukru, bo będę krzyczał.

Dickson pomógł starcowi sięść na fotelu, podsunął mu całą cukierniczkę i spytał o cel tak nieoczekiwanej wizyty:

— Przychodzę, ażebyście mi oddali moją pielęgniarkę. Stłukliście szybę w moim domu, przewró-

chiliście fotel a potem zabraliście mi pielęgniarkę... Nie zgadzam się! Nie zgadzam się...

Starzec delektował się cukrem...

— Cukier słodki... A słodkie — to dobre... Lubie słodkie...

Zdawało się, że już się zupełnie uspokoił i zapomniał po co przyszedł, gdy nagle zerwał się i stojąc na drżących nogach wrzeszczał piskliwym głosem:

— Dickson! Ukradłeś mi moją pielęgniarkę! Oddaj mi ją złodzieju, bo cię każę wysmagać przez moich Murzynów... Schowałeś ją tutaj. Znajdę ją! Sam znajdę...

Sytuacja stawała się nieprzyjemna. Harry Dicksona ułomności ludzkich, a siwe włosy wzbudzały w nim ułomności ludzkich, a siwe włosy wzbudziły w nim respekt. Z ludźmi starymi należy się obchodzić jak z dziećmi. Harry Dickson przez całe życie trzymał się tej zasady. To też w pierwszej chwili postanowił ulec kaprysowi starca:

— Bardzo proszę, — rzekł. — Jeżeli pan pragnie przeszukać moje mieszkanie — wcale się temu nie będę sprzeciwiał. Nie ma tutaj pańskiej pielęgniarki. Nie wiem, gdzie się podziała. Oto moje szafy — niech pan jej szuka.

Na trzęsących się nogach, podpierając się laską — stary ruszył na górę, do pokoi mieszkalnych detektywa, aby rozpocząć tę osobliwą inspekcję.

Dotarł już do drugiej szafy.

Dicksonowi ta osobliwa rewizja nie była w smak. Jak na złość, w domu nie było ni Toma ani missis Crown, nieocenionej gospodyni.

— Dam panu tabliczkę czekolady i możeby pan mi na słowo uwierzył, że jej tutaj nie ma...

Starzec zatrzymał się przy szafie.

— Tabliczkę czekolady?... Dwie tabliczki i niech diabli wezmą tę pielęgniarkę!

— Zgoda! Zaraz panu przyniosę.

Sklep ze słodyczami był naprzeciwko. Na dwie minuty musiał detektyw pozostawić swego gościa samego w domu.

Jak stał, wybiegł na ulicę, nie czekając kolejki, schwycił dwie tabliczki czekolady, rzucił małą monetę i krzyknawszy „do widzenia” — wybiegł ze sklepu, nim zdumiony kupiec zdołał wydobyć z siebie słowo.

Starzec szukał czegoś w głębi szafy.

Był radośnie podniecony, gdy zjawił się Dickson z dwiema tabliczkami czekolady i od razu, nie pożegnawszy się nawet — opuścił dom detektywa.

Pod wieczór Tom Wills stwierdził brak w szafie owego makabrycznego kłębka.

Podjęcie padło oczywista na Simpletona, jako na jedyne gościa w ciągu całego dnia.

Tom był wściekły. Gotów był zaraz dzwonić do Scotland Yardu, by cały dom zdziecininałego starca otoczyć policjantami.

— Nie śpiesz się, — uspakajał go detektyw. — Nie bardzo mi się chce wierzyć, by ów kłębek był jeszcze w rękach tego biedaka. Pójdziemy do jego domu, i tam zbadamy rzecz na miejscu.

Już z daleka, gdy dochodzili do domu Simpletona — ujrzeni światło niemal we wszystkich oknach. Stwierdzili dziwny ruch za firankami.

Służący poznał Dicksona:

— Proszę pana, co za nieszczęście!... Nasz biedny pan!... Żeby pan mógł złapać tego zbrodniarza!...

Simpleton leżał na łóżku błąd jak papier. Głowę miał cwiakaną grubym bandażem. U wezglowia

rannego siedział lekarz i raz po raz chwycił pacjenta za puls.

— Napad, panie doktorze?

— Tak jest, — potwierdził lekarz. — Kilkanaście ciosów w głowę tępym narzędziem. Szerokie rany, wylew krwi do mózgu i — obawiam się — że złamanie podstawy czaszki.

— Ma pan nadzieję, że chory wyzdrowieje, — pytał dalej detektyw.

— Nadziei nie ma żadnej. Gdyby pacjent był młodszy, lepszego zdrowia, możnaby rokować optymistycznie. Ale w tych warunkach... Ten trzęsący się, niedołężny prawie starzec najpewniej skona w ciągu najbliższych kilku godzin.

Nie tracąc czasu, Dickson rozpoczął badanie słuchowe. Nikt mu nie wiedział, nikt nic nie słyszał. Służąca wniosła wieczorem, jak zwykle, swemu chlebodawcy kubek mleka i znalazła go skrwawionego, leżącego bez przytomności.

W pokoju panował nieład. Szuflady były powyściągane. Na podłodze i w szufladach leżały najróżniejszych kolorów i wielkości... kłębki bawełny.

Chory poruszył się. Począł coś mamrotać.

— Mówi coś, niech panowie słuchają, — rzekł lekarz.

Detektyw nachylił się nad łóżem nieszczęśliwego.

— Nie dam... Zbój... Ukradł... Piękny motek...

— Zdaje mi się, że były to już jego ostatnie słowa, — wyszeptał doktor.

Biedny staruszek zmarł po godzinie, nie odzyskawszy przytomności.

W posępny nastroju Dickson opuścił miejsce zbrodni, ustępując miejsca przedstawicielom Scotland Yardu, którzy błądząc zupełnie po omacku próbowali znaleźć choćby jeden ślad w tej tajemniczej sprawie.

— Nic nie rozumiem, — rzekł Tom do swego mistrza, gdy pieszo wracali do domu. — Simpleton, niespełna już rozumu, składa nam nieoczekiwaną wizytę, zabiera z naszego domu napozór nie przedstawiający najmniejszej wartości przedmiot i ginie po kilku godzinach zabity właśnie w walce o ten głupi kłębek.

— Zdaje mi się, — odparł Dickson, — że rzecz nie jest taka trudna do wyjaśnienia. Simpleton działał z namowy Węgorza. To pewne. Ten człowiek musiał mu osobiście, albo przez kogoś, opowiedzieć o pielęgniarce i o naszym kłębku. Wmówił weń, że kłębek jest najpiękniejszy i że trzeba go nam wykraść, bo go dobrowolnie nie wydamy. Simpleton miał manie: zbierał kłębki. Przekonał się o tym. Wystarczył jeden rzut oka na szufladę w jego komo-dzie.

— Gdy tak pana słucham, zdaje mi się, że ma pan jakiś szósty zmysł, że widzi pan rzeczy, dziejące się o mile całe...

— Nie widzę, ale je wyczuwam. Słuchaj dalej. Simpleton idzie do nas. Przypadek mu dopomógł, że zostawiłem go na chwilę samego. Zupełnie o tym kłębku zapomniałem. Był przecież tak dobrze schowany w szafie... Starzec ze skradzionym kłębkiem wraca do domu. Bawi się nim, podziwia go, raduje się tym nowym nabytkiem. Zbrodniarz zjawia się i chce mu go zabrać. Ale w oczach mniaka przedmiot ten ma wartość całych włości. Broni się. Pada pod ciosami, a tymczasem zloczyńca porywa przedmiot na którym mu tak bardzo zależy i ratuje się ucieczką.

Tom Wills uderzył się palcem w czoło:

— Chwileczkę mistrzu. Zdaje mi się, że jest mały błąd w pańskim rozumowaniu. Jeśli zbrodniarz wyrwał kłębek z ręki swej ofiary — to dlaczego wyciągnął całą szufladę, pełną innych kłębków?...

Dickson uśmiechnął się:

— Brawo, Tomku! Doskonale. Muszę ci, skoroś taki przebiegły, zdradzić pewną tajemnicę: Węgorz popełnił nową zbrodnię bezcelowo. Nie znalazł kłębka z palcem!

— W jaki sposób nabrał pan tego przekonania?

— Poproście dla tego, że ten kłębek mam przy sobie, — rzekł Dickson, podnosząc wysoko w rękę zwitek wełny.

— Ale przecież ten kłębek jest czerwony!

— Masz rację, mój drogi. Tamten był brązowy, ale Simpleton przewinął go.

— A o tym w jaki sposób pan się dowiedział?

— Nie było to rzeczą tak bardzo trudną. Zauważyłem, że palce nieszczęśliwego starca były zlekka zabarwione na czerwono. Przy odwijaniu kłębka palce nie dotykają tak mocno nitki i dla tego nie zafarbowywały się na brązowo, przy nawijaniu zaś trzeba już naciągać nitkę i dla tego palce zlekka się zaczerwieniły. Poza tym stwierdziłem, że tylko jeden z licznych kłębków był, jakby jeszcze świeży i zlekka wilgotnawy. Maestro Węgorz zdobył kłębek, w którym nici zawinięte są najpewniej na jakiś patyk i starą gazetę, a nie na ów tajemniczy palec.

— Wszystko to pięknie, ale nie o palec nam przecież chodzi, tylko o człowieka, który dla zdobycia go morduje innych.

— Masz rację... — rzekł Dickson w zamyśleniu.

— A ponadto, czy nie możnaby sprawdzić, na co jest tamten motek nawinięty.

— Oczywiście, można. Omyłka jest zawsze możliwa. Uznaję tę zasadę przede wszystkim w stosunku do samego siebie. Rozwińmy całe nici.

We dwójkę poczęli odwijać kłębek. Gdyby im się ktoś przyjrzał zdaleka, sądziłby, że szykują wełnę dla babci na pończochy.

Czerwona nić leżała już w szerokich zwojach na podłodze, gdy wreszcie z pod rzedniejącej w rękę Dicksona nitki ukazał się zasuszony kikut palca ludzkiego.

— Nie omyliłem się, — rzekł Dickson.

— Przepraszam pana bardzo, — sumitował się Tom.

— Nie masz mnie czego przeproszać. Zaraz zobaczymy, co to za dziwna sztuka.

Detektyw położył palec na arkuszu białego papieru i począł mu się przyglądać przez szkło powiększające.

Nagle Tom Wills ujrzał, jak białność pokrywa twarz jego mistrza. Dickson z przerażeniem odskoczył od obiektu swych badań i krzyknął do Toma:

— Jodyny! Jak najwięcej jodyny!!

Wylęknięty młody człowiek pobiegł do łazienki i po chwili wrócił z buteleczką jodyny i dużą butlą wody karbolowej.

Na stole stała wielka popielniczka.

— Wylej wszystko! — krzyczał Dickson głosem, w którym był śmiertelny lęk.

Detektyw zanurzył obie dłonie w wodzie karbolowej.

— Teraz na ciebie kolej! Pakuj ręce! Daj jodynę!

Ku zdumieniu Toma, Dickson wylał na kawał waty sporo jodyny i począł sobie nacierać dłonie.

— Uczyń to samo!

Dopiero po tych zabiegach odkażających, gdy już odetchnęli — Dickson rzekł:

— Mam nadzieję, że to wystarczy, choć jutro rano pójdziemy obaj do lekarza.

Tom spoglądał na swego mistrza wystraszonymi oczami.

— Przepraszam cię... Nie wiesz co się stało. Otóż wiedz — ten palec, to palec trędowatego!

Na czoło młodzieńca wystąpiły krople zimnego potu.

— I czy aby te zabiegi dezynfekcyjne wystarczą?

— Sądzę, że tak. Węgorz musi i o tym wiedzieć. Dlatego zresztą był ów palec zawinięty na motek... Tym ciekawsze, dlaczego naraża się on na zarażenie trądem, byleby ten paluch odzyskać...

Na biurku Dicksona zadzwonił telefon.

— Późno... Co to być może, — rzekł Tom, podchodząc do aparatu.

Przez aparat ktoś krzyknął tak głośno, że Dickson siedzący o kilka kroków — słyszał dokładnie każde słowo:

— Na pomoc, — wołał głos kobiety... Na pomoc! Morderca!

— To Barbara Castlemain!

— Tak jest, — odparł Dickson, unosząc się z fotela i zmiierzając ku przedpokojowi. Dziwne rzeczy dzieją się na tym świecie. Zobaczmy w każdym razie, co tam znów za historie wyczynia nasz przyjaciel Maestro Węgorz... W drogę, Tomie!

W płomieniach

Zaledwie Tom Wills dotknął dzwonnka w domu Castlemainów, gdy drzwi się otworzyły. Jakaś postać zgięta we dwoje stanęła w progu, a głośne narzekania i jęki dobiegły uszu młodego detektywa jeszcze wcześniej, niż pierwsze słowa nieznanego.

— Jestem Antares, rzekł wreszcie murzyn. — Dobrze, że panowie przybyli. O moją kochaną państwo!... Co z nimi będzie?... Biedny Sir James! Biedna Lady Barbara!

Murzyn był szary z przerażenia. Twarz miał całą we krwi, krew wielkimi plamami znaczyła się również na liberii, spływając jeszcze ciągle z głębokiej rany szyi.

— Co ci jest, Antares? Przecież ty sam jesteś ciężko ranny, — rzekł Dickson, wchodząc bezpośrednio za Tomem.

— Nie troszczcie się o mnie... Do pani... Do lady, Barbary...

Murzyn osunął się na podłogę i począł się czołgać w kierunku salonu. Miss Castlemain, ta sama, która jeszcze tak niedawno, z takim powodzeniem grała rolę pielęgniarki u wezglowia nieszczęśliwego Simpletona, leżała na małej kozetce bez ruchu. Jej policzki były śmiertelnie blade, oczy — otwarte szeroko, były szkliste i bez wyrazu: odbijało się w nich słabe światło lampy, skapo oświetlającej pokój.

Detektyw ujął dłoń nieszczęśliwej. Była wilgotna i zimna. Już się odczuwało w niej zbliżającą się trupią sztywność.

— Nie żyje! — krzyknął detektyw przerażony. Antares, głośno szlochając, ostatkami sił przyczłopał się do ciała swej pani i omdlewającą dłonią ujął rąbek jej sukni, kierując go ku ustom.

— Jestem szczęśliwy, że pójdę za moim państwem, — płakał murzyn.

— Gdzie jest sir James? — zagadnął go detektyw.

Antares z trudem podniósł dłoń i wskazał w kierunku bocznych drzwi pokoju:

— Nie żyje! Zabili go najpierw!

Dickson pobiegł w tamtym kierunku.

W małym, ciemnym salonie, zamienionym na gabinet pracy, oparty o biurko, leżał sir James. Śmierć musiała nastąpić natychmiast od uderzenia jakimś ciężkim przedmiotem w kark.

— Kto tu był?... Czyją sprawą były te potworne zbrodnie?... Jaki potwór w ludzkim ciele dokonał tak strasznego samosądu nad całą rodziną? Niewątpliwie był to szalelec, gdyż człowiek zdrowy na umyśle, o najniższych choćby instynktach, nie umiałby się zdobyć na tak okropną masakrę.

Pytanie to zadawał sobie Dickson daremnie. Chyba tylko jeden jedyny Antares, jako ten, który z całej trójki został przy życiu — mógłby mu na nie udzielić odpowiedzi.

Detektyw pobiegł z powrotem do murzyna. Pochylił się nad nim i dotknął jego ramienia:

— Antares! Na Boga! Mów... Kto tu był?... Kto to zrobił?...

Murzyn bełkotał coś bez związku.

— Antares! Przez przywiązanie i miłość dla twych państwa — mów!... Jeszcze jeden wysiłek. Czarny wywracał białkami, widać było, że istotnie czyni, co jest w jego mocy, aby odpowiedzieć na pytania Dicksona, wreszcie, jakby nadludzkiem wysiłkiem wybełkotał:

... — Joe Haskins!...

— To niemożliwe! Haskins nie żyje! Nie żyje, rozumiesz?...

Murzyn wyprężył się, westchnął głęboko i, jakby w geście protestu, krzyknął głośno:

— Haskins! Widziałem! Sam widziałem!

Nagle, zmożony snąc tym wysiłkiem, rozkurczył się i padł już bez przytomności.

Dickson po raz pierwszy w swej wieloletniej karierze czuł, że jest zupełnie bezradny. Od czego począć? Ciało nieszczęśliwej Barbary — już poczęło się okrywać jakąś zielizną... Widocznie została otruta. Antares — czy zmarł — czy żyje jeszcze? A może i w Sir Jamesie tki jeszcze iskierka życia?...

— Lekarza! Tomie, dzwoń po lekarza.

Tom schwycił słuchawkę. Po kilku chwilach rzucił ją i zawołał:

— Nie mamy połączenia! Pewnie druty przecięte!

— Biegiem na ulicę i zaalarmuj gwizdkiem policję!

Tom próbował spełnić rozkaz.

Ale ku swemu zdumieniu stwierdził, że drzwi są zamknięte.

Wraz z Dicksonem biegli od drzwi do drzwi. Wszystkie były zamknięte.

— Zbrodniarz jest jeszcze w tym domu. Podczas, gdyśmy zajmowali się jego ofiarami — zamknął nas tutaj. — Detektyw był mocno zaniepokojony. — Ma nas. Dostaliśmy się w pułapkę. — Obaj podbiegli do okien.

— Zamknięte z zewnątrz na mocne okiennice! — zawołał Tom.

Sytuacja stała się nad wyraz poważna. Harry Dickson zmarszczył czoło i zamyślił się głęboko. Po dłuższej chwili wstał i rzucił do Toma:

— Musimy otworzyć drzwi. Przynieś mi mój komplet narzędzi. Jest w palcie.

Gdy po kilku chwilach obaj pracowali nad dużym zamkiem od drzwi wejściowych — nagle pierwszy Tom poczuł, że coś go dławi w gardle. Nie zdążył jeszcze chrząknąć — gdy detektyw w przerażeniu odskoczył od drzwi:

— Gaz! Gaz trujący! Chustkę na twarz — Tomie!

Przez dziurkę od klucza, przez szpary pod drzwiami napływał teraz żółtawo-brunatny gaz o zapachu gorzkich migdałów. Powietrze stawało się cięższe z minuty na minutę.

Daremnie Dickson i Tom cofali się coraz głębiej ku pokojowi. Daremnie przykładali chustki, zwilżone wodą z łazienki. Czuli, że jeszcze kilka chwil, a padną uduszeni oparami gazu i że tu w tym posępnym domu zlegną, obok trzech ofiar zbrodniarza.

— Do kominka! — wycharczał nagle Dickson.

Jak we wszystkich dużych domach angielskich, zbudowanych w dawnych czasach — również i w tym domu, kominki były bardzo duże: szerokie i głębokie.

Dickson dostał się pierwszy w wylot kominka i krzyknął do swego ucznia:

— Jesteśmy wyratowani! W kanale są klamry! Szybko szli, z klamry na klamrę, do góry.

Tom, który szedł dołem, poczuł w pewnym momencie piekący ból w stopie. Spojrzał w dół. Z dołu biegły przez komin narazie jeszcze małe parzące płomienie.

— Pali się! Cały dom się pali! Zginiemy!

— Naprzód! Choćbyś sobie ręce i nogi uwędził! — Dickson zdwoił szybkość.

Tom ruszył za nim z głośnym jękiem.

Czy szli po tej drodze tortur, w oparach dymu, w podmuchach trującego gazu, smagani palącymi promieniami — godzinę, czy sekundę, minutę — czy wieczność całą — nie potrafili by tego określić... Dość, że jednak znaleźli się na dachu i poczuli powiew świeżego powietrza! Byli uratowani! Po chwiliomal nie obalił ich silny strumień wody z siłkawki strażackiej. Pożar w domu Castlemainów już zaalarmował straż.

Ogień był podłożony, to było dla strażaków jasne od pierwszej chwili. Pomimo wysiłków straży — dom cały spłonął doszczętnie.

Opatrzeni na miejscu przez lekarza straży — dwaj detektywi wrócili do siebie na Baker Street. Dickson ponownie przegrał. Maestro Węgorz, który ze złodzieja stał się mordercą i podpalaczem — znów odniósł nad nim zwycięstwo.

Dickson bezustannie myślał o słowach murzyna: umierający oskarżał umarłego. Antares twierdził, że Haskins był sprawcą ostatnich zbrodni... Czy to było możliwe?...

Przez cały wieczór detektyw studiował rozkłady jazdy i prospekty linii żeglugowych. Wreszcie oświadczył Tomowi:

— Odbędziemy dużą podróż, mój drogi.

— Na Antyllę?

— Zgadłeś. Wyjedziemy na kilka tygodni, może nawet na parę miesięcy.

— Czy sądzi pan, że uda nam się tam schwytać Węgorza?

— Nie chcę go wcale schwytać... Chciałbym przybyć tam przed nim — to wszystko.

Harry Dickson połączył się z biurem podróży i zamówił dwie kabiny na najbliższym statku.

Duch wulkanu

Mały parostatek pasażerski „Tahiti“, pełniący regularną tygodniową służbę komunikacyjną pomiędzy małymi portami na wyspach Antylskich, wyruszył z Fort-de-France tylko z nielicznymi pasażerami. Kapitan Dorvil — stary marynarz i jak wielu Francuzów — roznielony w literaturze, rad był, że gości na swym pokładzie człowieka tak znakomitego jak Dickson. — Był on wobec detektywa i jego ucznia uprzedzając grzeźny i poświęcał im prawie cały swój wolny czas.

Kapitan był przywiązany do owych wysp dalekich, na których już od setek lat kwitła kultura francuska, znał dobrze ich historię i ich legendy.

— Wyspa Węgorzy — jest najmniej znana z całego archipelagu, — rzekł kapitan wskazując na sińcący w dali wąski pas lądu. A wyspa to siekawa i dla badaczy zawierająca niewątpliwie bardzo wiele materiału do głębokich studiów.

Zdaleka widać było pięcypuszc dymu, który unosił się nad wylaniającym się z za chmur masywem wulkanu.

— To Ma-Hi-Tu — święta góra tubylców. Z górą tą, — wyjaśniał kapitan — związanych jest bardzo wiele legend kult „wadu“, który wyznają tutejsze ludy, żyjące w dżungli. Trzeba przyznać, że pogan na Martynice i Gwadelupie jest już bardzo mało. Nasza kultura przeniknęła głęboko w najszersze sfery ludności murzyńskiej i wielu z tubylców — mimo koloru swej skóry i swej odmiennej rasy — to prawdziwi Francuzi. Poganie, dzicy w całym tego słowa znaczeniu kryją się jeszcze po ostępach leśnych, w dżungli i puszczy małych wysepek. Do takich wysp właśnie należy i Wyspa Węgorzy, zwłaszcza, gdy opuścili ją ostatni kolonizatorzy.

Statek posuwał się wolno naprzód. „Tahiti“ płynął po legendarnym morzu Sargassów — morzu wodorostów. Do tego morza, według legend marynarzy wszystkich narodowości sypują wraki wszystkich opuszczonych i napół zatopionych okrętów.

Na dolnym pokładzie grupa czarnych zaintonowała jakąś monotonna pieśń. Kapitan zmarszczył brwi. Przez chwilę nasłuchiwał, co śpiewają czarni, poczym zwrócił się do Dicksona:

— Czy panowie rzeczywiście zamierzają wysiąść na Wyspie Węgorzy?

Dickson potwierdził.

— Nie radziłbym panom oddalać się od brzegu. Tubylcy są mocno podejrzani. Szykują się do uroczystości w związku z przewidywanym wybuchem wulkanu. Uroczystości te zwykle kończą się orgiami, dla białych bardzo niebezpiecznymi.

Śpiew zamilkł, ale już po chwili zabrzmiał głośniejszy i jakby groźniejszy.

— Co ci ludzie śpiewają?

Dickson poruszył tym pytaniem czułą stronę kapitana, który odehrzknawszy i poglądziwszy swego sumiastego w. sa — rozpoczął od wykładu o poezji dzikich wogóle, a potem przeszedł do tekstu śpiewanej przez murzynów pieśni.

— Oczywiście, trudno tutaj mówić o tłumaczeniu dokładnym. Czarni — to urodzeni poeci. Wogóle ludy pierwotne czują poezję znacznie głębiej

niż my. Ich pieśni pełne są obrazów i metafor. Niech panowie posłuchają:

„Piętnaście już razy święty ptak Ti pochylał się nad czerwoną koroną góry. Teraz przychodzi dzień, kiedy kapłanka wulkanu odemknie wrota złota i ognia. Zamknęła je pewnego wieczoru trwogi i śmierci, oświadczając, że otworzą się gdy ptak Ti — powróci po raz piętnasty.

Gdzież jest wspaniały nieznamy, który zwróci czarodziejce jej palec i uczyni jej dar z obrazu ptaka Ti — wyłobionego na piersi ludzkiej?... Kapłanka da mu złoto, ale inni obcy — poddani będą torturom i zginą w łonie ognistym świętej góry...”

Harry Dickson zapomniał o swej fajce, która mu zgasła. Oddychał ciężko. Wszystko się potwierdziło. Wszystko, co czytał w księgach w Muzeum Brytyjskim, co z takim zapałem studiował przez ostatnie dni.

— Inaczej mówiąc, — rzekł kapitan, delektując się swoją znajomością poezji, — przewidywany jest wybuch wulkanu, podobny do tego, jaki miał miejsce przed piętnastu laty. Czarni liczą, że ułaskają boga ognia — składając mu w ofierze jakiś rysunek z cudzej piersi — niewątpliwie wytatuowany, czyjs palec i życie kilku choćby cudzoziemców...

Statek zatrzymał się o kilkaset metrów od brzegu. Kapitan rozkazał opuścić szalupę. Wysłuchawszy jeszcze raz ostróg kapitana — Dickson i Tom zajęli miejsca w łodzi, która wraz z kilku czarnymi ruszyła ku pustynnym, nieprzyjaznym brzegom wyspy Węgorzy.

★

Harry Dickson przybył na wyspę przygotowany do tej podróży pod każdym względem. Znał między innymi doskonale jej topografię i wiedział, że aby dotrzeć do stóp wulkanu — trzeba od brzegu około dwóch dni marszu.

Czarni tragarze byli już zaangażowani i gotowi do drogi.

Tom szedł przodem z dwoma rosłymi tubylcami, Dickson zaś zamykał pochód z czterema czarnymi, grającymi rolę przewodników i gwardii przybocznej.

Przeszli właśnie niewielki wzgórek i znaleźli się w wąwozie, gdy idący na czele murzyn wskazał Willsowi rozrzucone na małej polance kolorowe jakieś przedmioty.

Gdy podeszli bliżej, przekonali się, że były to puste bańki po benzynie.

— Zdaje mi się, żeśmy się spóźnili, — rzekł Dickson. — Tamten nas już wyprzedził. Przybył tutaj jachtem motorowym i to są resztki jego zapasów benzyny. Trzeba się przed nim mieć na baczności.

Przeszli jeszcze kilkanaście metrów i dotarli do śladów olbrzymiego ogniska. W promieniu kilkunastu metrów krzaki i drzewa były spalane.

— To nasz przyjaciel Węgorz wzniecił na swoje powitanie olbrzymi ogień, podpalając benzynę.

Uszli jeszcze kilka kilometrów. Upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Pora była na obiad i na siestę południową.

Harry Dickson, ze zwykłą sobie przezornością, nie zapomniał o drobiazgach nawet z dziedziny zaprowiantowania — te też posiłek był obfity, smaczny i wobec panującego skwaru tym bardziej uspakajający sennie.

Podczas, gdy Tom Willis odpoczywał i walczył ze snem — jego mistrz po raz ostatni wertował bardzo rzadkie prace naukowe, traktujące o ludach z wysp Antylskich i ich wierzeniach.

★

Nad brzegiem małego potoku, na waziutkiej plaży, znaleźli, już dobrze popołudniu, kilka szkieletów ludzkich. Kości były gładkie, jakby wyszły z pracowni preparatora: wypolerowane, bez najmniejszego włókna mięśni. Zdawało się, że ciała te leżały tutaj od wielu lat, że wyczyścił je wiatr, piasek i wyprażyło słońce. A jednak... Tuż obok leżały worki, noże i t. p. przedmioty, stanowiące niewątpliwie własność ludzi, których szkielety leżały teraz na piasku. Owe narzędzia i pomoce były wi-
dać zupełnie jeszcze świeże, prawie nowe.

Dickson był już gotów wierzyć, że stoi w obliczu jakiegoś zbrodni dzikich, gdy nagle okropne krzyki tragarzy — przyniosły wyjaśnienie tej zagadki.

— Wati! Wati! — wylali czarni, uciekając w panicznym strachu.

Dickson obejrzał się za siebie i poczuł, że w trwodze i obrzydzeniu przestaje mu serce bić.

Całe roje obrzydliwych pajaków - krabów o potwornych czterech parach kończyn z potężnymi szczękami w kształcie obcęgi i wyłupiastymi oczami — z pełnym grozy szczękiem i szelestem popychając się, wślaząc jedno na drugie — ciągnęły w ich stronę.

— Stać! — padł rozkaz Dicksona, który w sekundę opanował trwogę i wstręt.

Dwaj murzyni zatrzymali się. Inni odbiegli o kilka kroków i zatrzymali się również.

— Benzyna! Otwierajcie! Prędkiej!

Tom rzucił się pierwszy do baniek z benzyną, które niosło trzech tragarzy. W jednej chwili otworzył je. Inni poszli za jego przykładem.

— Uciekajcie, wylewając benzynę za sobą! — krzyczał Dickson.

Była już ostatnia chwila. Dickson poczuł, że jedna z bestii chwyciła go za nogę. Z grymasem najwyższej odrazy, z dreszczem obrzydzenia, którego nie mógł opanować — rzucił kraba z nogi i zdeptał go.

Benzyna rozlała się szerokim strumieniem.

Nie mieli już prawie wcale w baniakach płynu, który miał im teraz uratować życie.

— Uciekajcie! — powtórzył Dickson.

Naradzając się, że opadną go roje potworów, że ponadto zginie w płomieniach — detektyw zapalił zapalniczkę, rzucił ją za siebie i biegł co tchu, do oddalających się towarzyszy.

Strzelił słup ognia. W pewnej chwili cała połać gruntu wraz z wszystkim co na niej rosło — stanęła w jasnym ogniu. Słychać było jak w tym potężnym ognisku pękają, wędzą się i prażą ciała potworów.

Ale pajaki - kraby, jak szarańcza szły ciągle naprzód. Nowe zastępy szły po trupach tych, które zginęły w płomieniach. Niebezpieczeństwo nie było jeszcze zażegnane. Trzeba było przystąpić do walki z potworami.

Jako twierdzą, które należało bronić w imię życia własnego — obrał Dickson dużą wyniosłość pokrytą zastygłą lawą. Teren był śliski, dostęp do tego wyżu był trudny i bardzo gładki. Należało przypuszczać, że kraby tej pozycji nie zdobędą.

Tak się też stało. Okropnie nadpalone, kręcące

się w jednym miejscu, wijące się w jakichś okropnych drgawkach — potwory zbliżały się ku owej naturalnej ścianie obronnej, piły się na nią i padały po to, aby znów spinać się i padać z powrotem.

Gdy już nad brzegiem skamieniałego gruntu zebrały się niemal wszystkie potwory, gdy ich nowe masy nie napływały — Dickson polecił rozlać nieco benzyny.

W nowym potężnym ognisku zginęli wrogowie, którzy niewątpliwie zaatakowali w podobny sposób tych ludzi, których objedzone kości bielili się na piasku. Benzyna tamtym nie pomogła.

Zmordowani, wycieńczeni ucieczką i walką z krabami, szli teraz powoli naprzód.

— Chyba już jutro dotrzemy do stóp wulkanu?...

Pytanie to postawił Tom, gdy wąską ścieżyną, wyrąbaną w dżungli zmierzali naprzód w poszukiwaniu małej choćby polanki, zdanej na rozbić obozu.

— Dotrzecie już dzisiaj! — padła nagle odpowiedź z gęstwiny leśnej. — I ręce do góry!

Na czele oddziału, złożonego z kilku ludzi, z rewolwerami w dłoniach, gotowymi do strzału — wyszedł z krzaków, jakby się wyłonił z pod ziemi, człowiek wysokiego wzrostu, w masce, zasłaniającej całkowicie twarz, jedyną z otworami na oczy.

— Maestro Węgorz! — krzyknął Tom.

— Tak jest mój mały, — odparł bandyta. — Jesteście teraz moimi gośćmi. Już od dawna gotowałem dla was przyjęcie, które napewno uznacie za niezwykle i wysoce urozmaicone.

Człowiek w masce dał znak swym ludziom. Dickson, Tom Willis i ich tragarze zostali rozbrojeni i otoczeni przez bandę Węgorza.

Zapadał już mrok. Dwaj więźniowie szli teraz w całkowitej ciemności, ku nieznanym lasom. A że byli w mocy zbrodniarza tak krwawego i bezlitosnego jak Węgorz — zdawali sobie sprawę, że chyba tylko cud może ich uratować.

Jeńcy dwóch tysięcy bogów

— Gdzie jesteście, mistrzu?

Harry Dickson nie mógł powstrzymać uśmiechu, usłyszawszy to pytanie swego ucznia. Czy istotnie wierzył, że jego mistrz mógł wiedzieć gdzie ich uwięziono?...

Od dwóch dni byli w pomieszczeniach o wysokim sklepieniu, gładkim i wypolerowanym do tego stopnia, że nawet mucha nie potrafiłaby po jego ścianach przejść... W samym środku sklepionego sufitu był duży otwór, przez który spływało sporo światła i przez który widoczny był błękit nieba.

Więźniowie mieli swobodę poruszania się, mieli nawet dość wygodne łóża, ale mimo to, byli całkowicie we władzy swych prześladowców: wydatek się z tego, jakby grobowca, było niepodobieństwem.

Dwa razy dziennie niewidzialna dłoń na sznurze dostarczała im przez otwór z góry zasilek. Nie żałowano im ani owoców, ani ryb i ptactwa: odżywiano ich doskonale.

Te objawy dobrego traktowania tym mocniej niepokoili detektywa. Kto wie do jakich celów ich sposobiono... Najpewniej szykowano z nich ofiary podczas najbliższego święta wulkanu. Obrzędy kultu „wadu“ — były krwawe i odrażające. O tym wiedział Dickson nie tylko z ust kapitana „Talitu“, ale ze swych książek, których tyle przestudiował.

Nasz opis niezwykłego więzienia był niekompletny. Nie wspomnieliśmy o rysunkach tysiąca postaci, jakby wymalowanych pod glazurą na ścianach sklepienia.

Harry Dickson całymi godzinami przyglądał się tym rysunkom, jakby w nich szukał rozwiązania tyłu zagadek, jakby z nich miało nie niego i na Toma spływać wybawienie.

Drugiego dnia, w południe, przez otwór dostarczył im dozorca ciężkie czarne winogrona.

Dickson zgniół w palcach kilka soczystych owoców i przekonaawszy się, że sok ich jest również prawie czarny i gęsty — uśmiechnął się z zadowoleniem i zwrócił do Toma:

— Jest z nami bardzo kiepsko, mój drogi. Ale jeśli Opatrzność zechce — wyjdziemy z tej opresji obracną ręką. Ty będziesz owym mężem opatrznościowym, a raczej twój talent do rysunków...

— Nie sądziłem nigdy, że mój skromny dar odegra kiedyś tak poważną rolę. Słucham mistrzu. Co mam robić?... Co narysować?

Dickson wziął swego ucznia pod ramię i wskazał mu jedną z licznych figur namalowanych na słomie. Był to ptak o stylizowanych, dziwacznych kształtach. Motyw ten powtarzał się we wszystkich prawie rysunkach w najróżnorodniejszych odmianach. Tym razem legendarny ptak pochylony był nad kraterem wulkanu, zięjącym dymem.

— Jestem niemal pewien, że to ów mitologiczny ptak Ti. Zechcesz Tomie jak najwierniej przerysować tego ptaka.

— Czym i na czym? Nie powiem, abym dysponował tutaj jakimś brystolem, ołówkiem lub tuszem...

— Na tym właśnie cała rzecz polega.

Dickson odpiął koszulę na piersi. — Oto twój brystol. — rzekł, obnażając pierś, — a oto twój tusz, dodał, wręczając Tomowi wielkie winogrona.

Tom Wills nie dał sobie rozkazu dwa razy powtarzać. Zabrał się rażno do roboty, a że był istotnie rysownikiem wprawnym i utalentowanym, gdy po kilku godzinach odrzucił kawałek miękkiego drzewa, który służył mu za pędzelek — na piersi Dicksona widniał wspaniały rysunek egzotyczny, wyobrażający ptaka Ti nad wulkanem.

— Co dalej, mistrzu, — rzekł Tom, gotów do dalszych prac dekoratorskich w tym rodzaju.

Dickson zakrył starannie rysunek na piersi, powiódł swego ucznia na środek pomieszczenia, aby teraz byli po dawnemu widoczni przez otwór z góry, i rzekł:

— Wierzę w twe dobre chęci. Ale narazie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać. Może przypadek będzie dla nas łaskaw.

Na owym pełnym niepewności i trwogi oczekiwaniu minął wreszcie trzeci dzień. Potrawy były coraz lepsze i obfitsze. Nie zhywało im na niczym.

Wieżenie musiało być w głuchej puszczy. W nocy do uszu więźniów dochodziły ryki zwierząt, hukanie nocnego ptactwa i te wszystkie odgłosy, które wydaje las podzwrotnikowy, gdy ciemności nań spadną.

Trzecia noc nie była jednak podobna do poprzednich. Dobiegały ich jakieś śpiewy dalekie i odgłosy modłów... Były to pienia monotonne, niezmiennie w swym prymitywie i męczące w ciągle powtarzającym się nawrocie tej samej nuty.

— Szykują się do obrzędów, — zauważył Tom,

— Tak jest. Jutro będzie pełnia. Jutro spełni się nasz los.

Późno w noc odczuli więźniowie wstrząsy podziemne i głuchy, z pod ziemi idący, łoskot.

— Wulkan działa!...

— Jutro będzie działał mocniej, — rzekł Dickson. Jutro — przyniesie nam życie lub śmierć.

Już od samego świtu, dnia następnego dudnić poczęły tam - tamy jakimś bębnieniem złowrogim i niezwykle gwałtownym. Pierwszym uderzeniem w ów egzotyczny bęben odpowiedziały inne. Warkot werbla murzyńskiego biegł ze wszystkich stron... Równocześnie śpiewy wczorajsze przechodzić poczęły w okrzyki i wycia:

— Hi! — Ti! — Hi! — Ti... — rozlegało się po lesie.

— Hu! Hu! Hu! — odpowiadały jak echo głosy z oddali.

— Zwariować można! — westchnął Tom.

Z zaciśniętymi ustami słuchał Dickson tych ryków, które odbywały się przy wtórze łoskotów i wstrząsów podziemnych.

O zwykłej godzinie posiłku, zamiast owoców i ryb, przez otwór opuszczony został do sklepienia kosz z winem, mocno zaprawionym korzeniami.

Tom wyciągnął rękę, aby ugasić męczące go pragnienie, lecz Dickson zatrzymał go.

— Ani tyku, Tomie. To gorsze niż blekot. To wino sprowadza szaleństwo!

— Szaleństwo?

— Tak jest. Szaleństwo i śmierć. Teraz już wiem, jaką nam śmierć szykują. Chcą nas złożyć w ofierze bóstwu wulkanu. A obrzędy wymagają, aby ofiary szły na miejsce stracenia śpiewając i śmiejąc się. Gdy ofiarom nie do śmiechu — doprowadza się je do stanu szaleńczej wprost wesołości właśnie podawając im tego wina. A nam właśnie będzie potrzeba w tych chwilach całej trzeźwości umysłu.

— I czy, mimo to, będziemy się również śmiać?

— Naturalnie! Tylko z własnej nieprzymuszonej woli, a nie z woli wina.

Mówiąc to, detektyw wyjął sakwy z winem i wylał je niespostrzeżenie na ziemię. Silny zapach najróżniejszych korzeni rozniósł się po pomieszczeniu.

Godziny mijaly powoli.

(Wreszcie Dickson dał znak Tomowi:

— Już pora. O tej godzinie wino powinno już działać. Musimy udawać oszołomionych, pijanych w szaleńczej radości.

Detektyw dał przykład swemu uczniowi, intonując w śmiesznych podrygach ostatni przebój filmowy.

Tom uderzył w ten sam ton:

— A to dobre sobie! Myśleliśmy, że jesteśmy na jakiejś tam wyspie, a przecież tańczymy w dancingu na Wood Lane. Gdzie jest Mabel?... Mabel!... Mabel!... Tom nawoływał przeciągle swą rzekomą londyńską sympatię...

U otworu ukazało się kilka głów. Obserwowali działanie wina. Byli widać zadowoleni z objawów, które stwierdzili u więźniów.

Była to dla obu prawdziwa udreka, owo ciągle staranie się o utrzymanie pozornie dobrego humoru w chwilach śmiertelnego lęku i trwogi.

Był już wieczór. Księżyc świecił przez otwór. Dwie liny spadły na podłogę więzienia.

Opuścili się po nich dwaj czarni, zbudowani jak atleci, a jednocześnie głos z góry rozkazał w czystej angielszczyźnie:

— Naprzód! Opuszczacie miejsce zamknięcia!
 — Naprzód wiara! Za mną! Idziemy na spacer!
Ruszaj się, staruszkule! — Wołał Tom zataczając się na nogach.

— A gdzie jest Mabel? — Upierał się Dickson... Nawet ich dozorczy śmiali się serdecznie.

Detektyw i jego młody uczeń byli bohaterami **niezwykłej sceny**. Tłum czarnych otaczał ich, śpiewając, tańcząc lub poprostu wyjąc. Tam — tamy dudniły przeraźliwie. Płonęły ogniska, pachniało **odurzającymi woniami korzeni**.

Pod stokiem wulkanu czekał na nich wielki kapłan w otoczeniu starszyny. Porwał ich obu, umocował w pasie u pni drzewa i wręczył wielką misę **płynu przejrzystego jak woda**.

— Pij, — szepnął Dickson, — to naprawdę woda. Będziesz udawał po półgodzinie, żeś otrzeźwiał.

Stara wiedźma, kapłanka ognia i ducha wulkanu, **zjawiała się przed kapłanem**.

— Czy jesteś skłonna przyjąć męża, który posiada tajemnicę tej wyspy? — spytał kapłan.

— Tak jest, — odparła kobieta. — Czy ofiary z białych są również.

Oboje mówili dziwnym narzeczem z wyrazów francuskich i dzięki temu Dickson dość dobrze ich rozumiał.

Kapłan spojrział w stronę detektywów i na ostatnie pytanie wiedźmy odparł:

— Oto są dwaj diabli, przeznaczeni bogowi wulkanu na ofiarę.

— Niech w takim razie wystąpi mąż wtajemniczony, — rzekła wiedźma.

Z ciemności wyłonił się człowiek w kapturze i masce.

— Mai Ti, — rzekł domniemany Węgorz, — posiadam na piersi podobiznę świętego ptaka Ti i mam twój palec — czy dopuścisz mnie do skarbów wulkanu.

— Tak jest. Głos twój poznaję ale obnaż swą pierś, abym się przekonała, że prawdę mówisz, — odparł starszy głos wiedźmy.

Dickson nie wierzył własnym uszom: człowiek w kapturze mówił przecież głosem Hatkinsa! Zmarłego Hatkinsa. Nastąpiła chwila działania, od której zależało wszystko.

Nieznajomy wręczał właśnie kłębek wiedźmie i z odchyłoną na piersiach szatą czekał, aż Ma Ti przyjrzy się wytatuowanemu rysunkowi.

— Stać! — krzyknął Dickson. — Wielka Ma Ti — ten człowiek to oszust! Zerwij przylepiony kawał skóry do jego piersi. Rozwiń kłębek, a palca w nim nie znajdziesz! Oto gdzie jest rysunek świętego ptaka!..

I Dickson sam obnażył swą pierś.

Ma Ti tymczasem rozwijała kłębek z trwożnym pośpiechem. Wszyscy wokół zamarli w oczekiwaniu. Człowiek w domu nie stał z podniesioną głową — pewien swej sprawy.

Już ostatnie nitki spadały z kłębka. Ma Ti schwyciła wydłużoną jego podstawę w prawą rękę. Dickson dojrzał, że brak jej było serdecznego palca. Kawałek gazety, zwinięty kilkakrotnie został w ręku staruchy!..

Jednym susem dopadła do piersi człowieka w masce. Jednym ruchem zdarła z jego piersi kawał skóry wraz z rysunkiem ptaka.

Potem podeszła powoli ku Dicksonowi. Przyjrzała się rysunkowi, wykonanemu w przeddzień przez Toma. Próbowwała oderwać skórę, ale oczy-

wista, próby te były bezcelowe.

— A oto twój palec — wielka Ma Ti, rzekł Dickson wręczając jej swój kłębek.

Gdy kapłanka odnalazła swój palec, tłum podzielił się na dwie grupy: jedna otoczyła człowieka w płaszczu i masce, wznosząc okrzyki, druga padła na twarz przed Dicksonem.

Rozległ się nagle potężny loskot. — To wulkan dymiąc groźnie, wyrzucił kłęby pary i gazów. Czarni poczeli się cofać. Skorzystał z tego człowiek w masce. Padły dwa strzały. Ma Ti runęła martwa. Jednym skokiem nieznajomy zniknął w gęstwinie leśnej.

Potężny słup ognia strzelił znów z krateru góry.

Ludzi ogarnął popłoch. Rzucili się do ucieczki. Nikt nie zważył na Dicksona i jego ucznia.

Dickson rozmyślnie wylądował na drugim końcu wyspy, aby przebyć ją całą wzdłuż, w drodze do wulkanu. Teraz obaj biegli wprost do brzegu.

Trzykrotny potężny huk wdarł się w ciszę lasu.

— Sa! — Zawołał Dickson. — Jesteśmy uratowani!

— Kto taki, mistrzu.

— Nasi zbawcy. Ludzie z pokładu okrętu Jego Królewskiej Mości „Ironside”. Jeszcze w Port de France prosiłem ich o pomoc. Nie spóźnili się!

Po pół godzinie płynęli już w szalupie na pokład krążownika brytyjskiego.

Powrót

Kapitan Harpen przyjął obu gości: Dicksona i Toma z prawdziwą serdecznością. Wypytał detektywa o szczegóły jego ostatniej wyprawy i był mocno rozczarowany, gdy dowiedział się, że tajemnica Mastro Węgorza nie została jeszcze wyjaśniona.

— Nie zrezygnowałem jeszcze — odparł Dickson. Mam nadzieję, że nim stanę w porcie w Londynie, uda mi się tę sprawę wyjaśnić. Mam w tym względzie poważne ugruntowane przypuszczenia, którychbym nie chciał jednak wyjawiać, za nim nie zdobędę jeszcze jednego dowodu, że się nie mylę.

— Jacht z lewej burty!

W tej chwili zaraportował bosman:

Dickson skierował niezwłocznie swą lornetę w kierunku zaledwie widocznego małego punkciku na horyzoncie. Pod rozwiniętymi wszystkimi żaglami i z motorem na pełnym gazie parł naprzód mały stateczek, starając się jak najbardziej zwiększyć odległość, dzielącą go od krążownika.

Detektyw przez dłuższą chwilę przyglądał się tej małej jednostce, wreszcie głosem wzburzonym i pełnym podniecenia zwrócił się do kapitana:

— Mam tylko słabą nadzieję, panie kapitanie, ale dałbym wiele za to, byśmy mogli dokonać rewizji na tym jachcie.

Bosman stał w odległości trzech kroków od komendanta statku, czekając rozkazów.

Stary wilk morski nie wahał się ani chwili:

— Scigać go! — padł rozkaz.

Kapitan powtórzył ten sam rozkaz przez tubę ze swego mostka do hali maszyn.

Rozległy się dzwonki, krążownik zahamował biegu. Zabulgotała woda. Śruby poczęły pracować, by prawie w miejscu zmienić kurs okrętu wojennego.

Przy boku kapitana znalazł się młodszy oficer, obserwujący bacznie manewry jachtu.

— Dodają gazu! — zauważył oficer. — Próbuja ujsć.

— Pełną parą! — padł nowy rozkaz do hali maszyn.

Statek zadrzał, głuche dudnienie przeszło przez jego cały kadłub i trwało teraz stale. Krążownik szedł naprzód w najwyższej chyżości.

Krążownik wyraźnie zbliżał się do małego stateczku.

— To jacht kubański! — zauważył znów oficer. — Zwijają banderę!

— Dać strzał ostrzegawczy!

Małe działo pościgowe zionęło ogniem i dymem. Rozległ się huk wystrzału. Pocisk padł w odległości kilkunastu metrów od jachtu, który zakochał się gwałtownie na spienionych wodach, ale kursu nie zmienił.

— Bierz go na cel!

Za uciekinierem podniosła się potężna fontanna wody. Drugi pocisk, już mierzony wprost, padł w wodę.

— Za krótko! Popraw! — padła przez tubę komenda kapitana.

Po trzech minutach padł drugi strzał. Pocisk przeleciał nad jachtem i zbil jego maszt.

— Celny! — zawołał Dickson. — Spróbujmy ich teraz zatrzymać, kapitanie!

— Heliografista, do mnie!

Przed kapitanem stanął majtek, obsługujący aparat optyczny, służący do sygnalizacji za dnia.

— Poślijcie mu nasze ostrzeżenie: „Stać, albo pójdziecie na dno“.

— Rozkaz, panie kapitanie!

Aparat optyczny zaczął działać. Znak za znakiem szły w przestrzeń sygnały świetlne, zwiastujące wszystkim pasażerom jachtu nieuniknioną zagładę.

Detektyw widział jak na pokładzie jachtu ludzie biegali, jak ogarnęła ich panika.

Po chwili mały statek zatrzymał się. Poddali się.

— Spuścić łódź! Sześciu ludzi uzbrojonych do łodzi! Porucznik Harper obejmie komendę!

Młodszy oficer już stał u burty. Sześciu marynarzy z krótkimi karabinami, w pogotowiu bojowym, czekało na rozkazy.

Ludzie w ciągu dwóch minut byli już na wodzie. Dickson znalazł się oczywiście również na pokładzie szalupy.

— Ruszaj!

Wiosła rytmicznie rozgarniały wodę.

W ciągu kwadransa znaleźli się burta o burtę z jachtem.

— Przybij! — padła komenda.

Właściciel jachtu — mulat z Kuby załamywał ręce:

— Nie wiem doprawdy dlaczego panowie mnie zatrzymują?

— Kogo wieciecie z wyspy Węgorzy, — zagadnął mulata Dickson.

— Nie mamy pasażerów na pokładzie.

— Niech wyjdą na pokład! — rzucił Dickson, jakby nie usłyszał tej odpowiedzi.

— Jest tylko jedna kobieta.

Detektyw przeszedł na pokład jachtu i zeszedł na dół. Po chwili Tom Wills nie wierzył własnym oczom i uszom:

— Niech pani już przestanie grać komedię, miss Barbara, — gniewał się Dickson. Aresztuję panią. Gdzie jest murzyn?

Miss Barbara Castlemain zbladła:

— Niech pan ma litość nad nim. To moja wina. Działał za moją namową. To... mój... mąż!

— Teraz rozumiem dramat w rodzinie Castlemainów! zauważył Dickson

Antares został zamknięty w areszcie na pokładzie krążownika. Miss Barbara Castlemain osadzona została w kabinie, a przed jej drzwiami postawiony został posterunek.

★

Oto wyjaśnienie sprawy, oparte na zeznaniach miss Barbary, Murzyna i uzupełnione przez Dicksona:

— Rzecz się zaczęła w chwili, kiedy Joe Haskins, plantator trzciny na wyspie Węgorzy, znalazł w lesie starą czarownicę, dotkniętą trędem. Haskins był wtedy zupełnie innego usposobienia, niż w ostatnich latach swego życia: zajął się nieszcześliwą i znając niektóre tajemne leki, zdołał zatrzymać postępy jej strasznego cierpienia. Serdeczny palec jej prawej ręki, najbardziej w chorobie zaawansowany, odciął i schował. Haskins miał na piersi wytatuowany znak świętego ptaka wulkanu. W ten sposób, przez przypadek wypełnił Haskins dwa warunki, o których głosi legenda: a które są wymagane, aby wejść w posiadanie złóż pono szczerzego złota, znajdujących się u stóp wulkanu i strzerzonych przez owego ptaka i jego kapłankę — czarownicę.

Podania te znalazł Dickson we wszystkich księgach podróźniczych, opisujących wyspę Węgorzy.

Kapłanka ognia była przez pewien czas swej choroby niewidoma: znała tylko głos Hastingsa i dlatego Antares udawał jego głos, gdy się do niej po 15 latach zbliżył z wyrwanym z piersi Haskinsa obrazem ptaka i kłębkem, zawierającym rzekomo palec.

Barbara Castlemain poślubiła w tajemnicy Murzyna — dawnego sługę rodziny. Castlemainowie byli ubodzy. I w tedy w umyśle tej kobiety powstał plan zdobycia skarbów, o których głosi legenda.

Barbara nie wiedziała, że Haskins posiada rysunek i palec. Antares poszukiwał obu tych przedmiotów u byłych kolonistów: kazał im się rozbierać do pasa i przetrząsał ich szuflady. Barbara „pomagała“ władzom w poszukiwaniu zuchwałego złoczyńcy „Maestro Węgorza“ i tą swą pomocą zacieślała ślady przestępstw swego męża. Antares był podczas tych napadów ucharakteryzowany na człowieka białej rasy.

Co się działo w domu Castlemainów?...

Małżonkowie przestępcy, zdobywszy z piersi Haskinsa rysunek ptaka i kłębek, w którym według ich mniemania znajdował się palec, postanowili pojechać na wyspę, aby wejść w posiadanie skarbów.

James Castlemain — arystokrata z dziada pradiada podczas tych przygotowań swej córki do wyjazdu dowiaduje się, że jest teściem murzyna. Któż sobie wyobrazi wściekłość tego wielkiego pana kolonisty w dodatku, który przyrzekł traktować Murzynów, jak zwierzęta pociągowe, gdy Barbara przypuszczenia starca potwierdziła, podając, że istotnie poślubiła Antaresa. Castlemain rzuca się na Murzyna. Barbara interweniuje w ostatniej chwili i stając w obronie męża — zabija stryja.

Teraz oboje inscenizują wielką komedię, mającą na celu ukrycie i tej ich ostatniej zbrodni. Równocześnie postanawiają się pozbyć najgroźniej-

szego ze swych wrogów — Dicksona i jego ucznia, którzy depczą im po piętach.

Podkładając ogień pod dom Castlemainów. Barbara wywołuje detektywa pod pozorem grożącego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa. Antares jest ranny w głowę: cios zadał mu Castlemain. Mimo to Antares gra znakomicie rolę wiernego sługi, umierającego ustóp swej pani. Murzyn zna wiele egzotycznych trucizn i środków oszalamiających. Aplikuje jeden z nich Barbarze, która czyni wrażenie martwej.

Następuje potem zamach gazowy na Dicksona i Toma Willsa, potem pożar i ich niemal cudowne ocalenie przez komin. Oczywiście w trakcie pożaru Antares wyniósł „ciało“ swej młodej pani, a w istocie wraz z nią zbiegł do portu. Zbiegli przez korytarz podziemny. Po pożarze znaleźli strażacy kości ludzkie: to Antares i Barbara je przygotowali, aby utwierdzić wszystkich w przekonaniu że zginęli w ogniu.

★

Nazajutrz po zapokładowaniu Barbary, podczas spaceru dumna ta kobieta przechyliła się nagle przez poręcz. Nim ktokolwiek nadbiegł jej z pomocą — było już za późno. Morze obfitowało w re-

kiny. Barbara uszła sprawiedliwości ludzkiej.

Również Antares uniknął sądu i niechybnie szubienicy. Zmarł na trąd, krótko po osadzeniu go w więzieniu w Newgata.

★

Tak się zakończyła dziwna, może jedna z najdziwniejszych spraw, jakie kiedykolwiek prowadził znakomity detektyw Harry Dickson.

Tajemnicza, mało znana wyspa zemściła się na człowieku, który próbował wydrzeć jej tajemnice.

★

Gdy w Londynie dzienniki gratulowały Dicksonowi tego nowego sukcesu, gdy wszyscy podziwiali jego zdolności, energię i wręcz genialny dar ujawnienia w chaosie poszlak drogą prawdy — biedny Tom Wills, choć szczerze się cieszył — miał chwilami smutną minę.

— Taka piękna podróż, taka egzotyczna sprawa szkoda, że już się skończyła... — narzekał.

— Nie martw się, — pocieszał go Dickson, — będą inne.

Znakomity detektyw miał rację i tym razem. Jak zwykle.

Koniec.



Następny **Nr. 13 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 5-go kwietnia zawierać będzie przygodę p. t.

Dom, w którym straszy“

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Te bowiem znakomite jego zdolności pozwalają mu poruszać się bez obawy zdradzenia się zarówno wśród sfer arystokracji, jak i najniższych warstw społecznych, nawet tam, gdzie męty i szumowiny knują swe zbrodnicze plany.

Harry Dickson walczy **ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłądą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

1. „Wyspa Grozy“.
2. „Tajemnica egzotycznego władcy“.
3. „Alarm w przestworzach“.
4. „Dom na moczarach“.
5. „Ludzie bez adresu“.
6. „Szalony burmistrz“.
7. „Grająca wieża“.
8. Król Nocy.
9. Posępna kabała.
10. Tajemniczy Trybunał.
11. Koronki królowej.

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

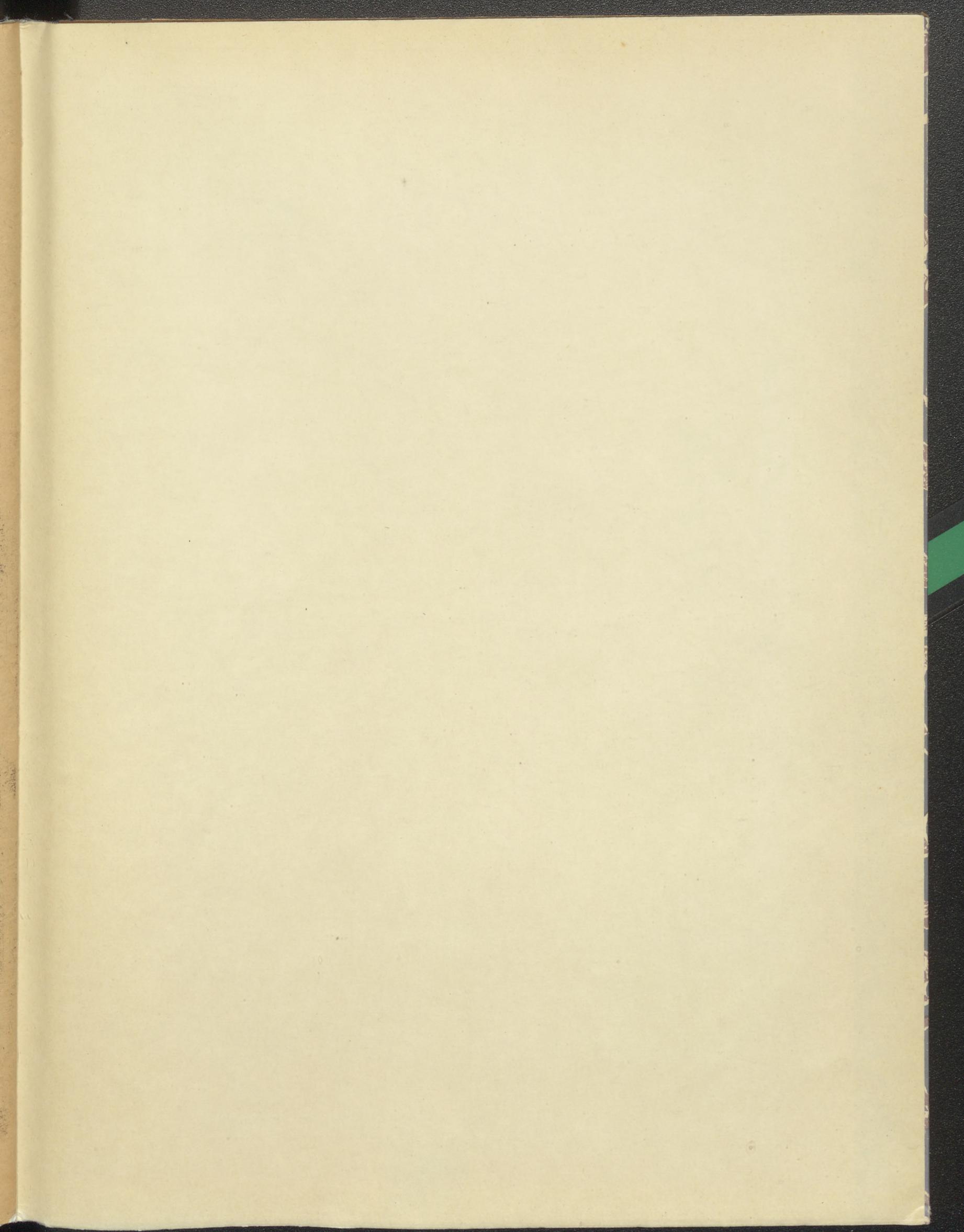
10 gr.

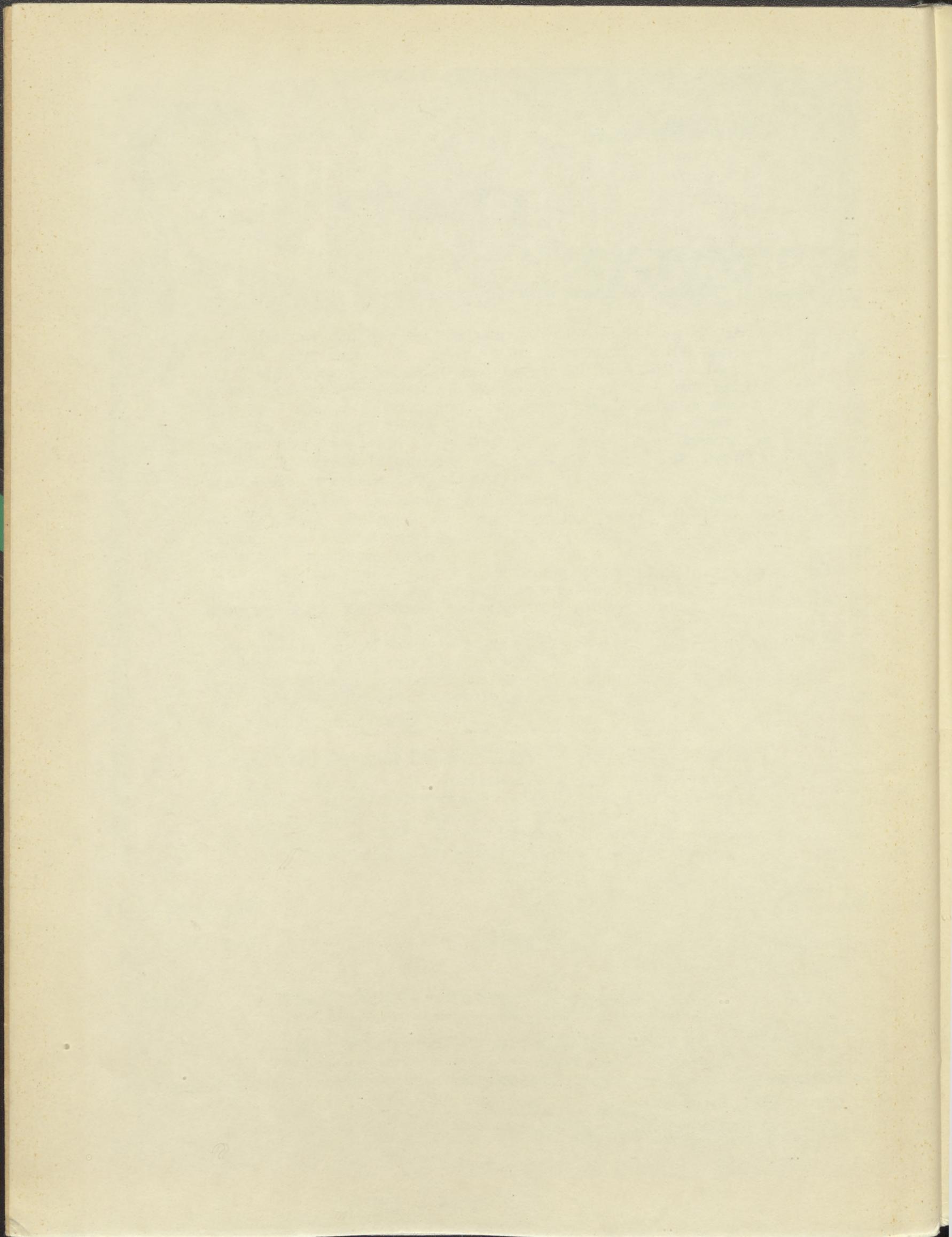
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68.148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 19, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

3612/38





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024365879



2dj
623405

12

